MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 22. WARSZAWA, 27 MAJA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRZECIWMASONERJA CZY MASONERJA?

PYTANIE, sformułowane w tytule, zadaję sobie w ciągu ostatnich pięciu lat bardzo często, myśląc o niemieckim ruchu rasowym. Odpowiedź na to pytanie jest bardzo ważną. Odpowiedź ta da nam możność trzeźwej oceny niemieckiej rewolucji narodowej oraz oceny zamierzeń politycznych i możliwości ich realizacji Niemiec hitlerowskich. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że zorganizowany od długiego czasu rasowy ruch w Niemczech związał się z narodowym socjalizmem na długo przed objęciem przez Hitlera władzy politycznej w Niemczech. Co więcej ruch narodowo - socjalistyczny zawdzięcza dojście do władzy w dużej mierze właśnie ruchowi rasowemu, ściślej mówiąc jego doktrynie. Stąd przyszłość ruchu rasowego w Niemczech zapewniona, przynajmniej w tym samym stopniu, jak przyszłość narodowego socjalizmu.

W książce, poświęconej ruchowi rasowemu w Niemczech (Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie, Poznań 1934, nakładem „Głosu") postawiłem to pytanie całkiem jasno. Zrobiłem to mianowicie w związku z omawianiem przygotowań do nowej germańsko-nordycznej religji. Okazuje się bowiem, że staropruskie loże masońskie po przewrocie hitlerowskim stanęły na stanowisku zarówno rasowem, jak też na stanowisku pomysłów religijnych, głoszonych przez rasistów. Specjalnie loże te zdaje się popierają naukę Hermana Wirtha, o której pisałem także w omawianej książce.

Do postawienia tego pytania skłoniło mię także studjum genezy ruchu rasowego. Współczesny jego etap poprzedził rozwijający się w średniowieczu długowiekowy spór pomiędzy poligenistami a monogenistami. Rolę zaś motoru doktryny poligenistycznej, ideowej poprzedniczki dzisiejszego ruchu rasowego w Niemczech, spełniały w pierwszym rzędzie żywioły antykatolickie. Pozatem tu i ówdzie napotyka się w publicystyce rasistów na nazwiska notorycznych masonów.

Pisząc swoją książkę, nie znałem jeszcze pewnych faktów i danych, które mogą zagadnienie pogłębić i rzucić nań nowe światło. Nie znałem wtedy w pierwszym rzędzie książki Fr. Haisera p. t. *„Freimaurer und Gegenmaurer im Kampfe um die Weltherrschaft"*, Monachjum 1934, str. 141. Z tytułu sądząc nie przypuszczałem, że łączy się ona z rasizmem. Książka wydana została przez główny nakład rasistów t. j. firmę J. F. Lehmann, tę samą która sfinansowała prawie całą olbrzymią twórczość niemieckich rasistów.

Autor ten znany jako wielbiciel Nietzschego i wyznawca arystokratycznego odcienia rasizmu, propaguje w swej książce zrealizowanie w świecie hinduskiego ustroju kastowego, jako systemu życia społeczno-politycznego i kulturalnego. Oczywiście najwyższą kastę t. j. „Kszatrja" tworzyliby ludzie rasy nordycznej. W tym celu proponuje stworzenie panaryjskiego związku („Der Allarische Bund"). Związek ten oparty o międzynarodowe arystokratyczne wytyczne miałby przeprowadzić emancypację kasty Kszatrja. Byłby on organizacją zwalczającą żydów, demokrację w najszerszym tego słowa znaczeniu, lewicowość, nacjonalizm, Kościół katolicki oraz wogóle chrześcijaństwo no i masonerję. Zachodzi tylko pytanie czy wogóle masonerję czy też tylko pewne jej odłamy.

W odpowiedzi na to pytanie należy najpierw podkreślić, że autor nazywa swoją organizację „międzynarodową przeciwlożą". Pozatem propaguje on nawrót do poganizmu. Uważa bowiem chrześcijaństwo za religję przeciwstawiającą się ustrojowi kastowemu, religję walczącą z podziałem społeczeństwa na panów i niewolników. Ciekawe jest także zdanie (str. 106) dotyczące Kościoła rzymskiego, względnie jego usiłowania uzyskania wpły-

wu na państwo. Jeśliby—powiada autor—Kościół chciał przy pomocy katolickiego socjalizmu i Żydów poddać państwo Stolicy Apostolskiej to wtedy pójdą Kszatrja, protestanci, wolnomyśliciele i wolnomularze znowu razem przeciw kościołowi rzymskiemu.

Nakoniec krótkiego sprawozdania z książki Haisera chcę podkreślić, że wartoby było, aby ją nasi politycy praktyczni poznali. Odegrała ona najprawdopodobniej bardzo wielką rolę w nastawieniu dzisiejszych panów Niemiec. Jest to książka wysoce aktualna przez to, że odbija ona sporo momentów politycznych, zapowiedzianych dziesięć lat temu, a obecnie realizowanych, albo nawet zrealizowanych. Ciekawe jest, że autor marzy o światowem, prawicowo-radykalnem państwie *(Der rechtsradikale Weltstaatsreich)*. Początkowo myślał, że mogłaby to państwo utworzyć międzynarodowa rewolucja admirałów. Potem jednak doszedł do przekonania, że realniejsza jest myśl podboju przez pilotów. Poprostu to państwo, które doskonale postawi swoje lotnictwo, może pewnego pięknego dnia podbić świat. „Technika powiada on może być także wybawcą od techniki (jej przerostu) ale przedewszystkiem wybawicielem od światowego panowania Żydów i demokratów. Wszystkich wynalazców na tem polu należy wynajdywać i zachowywać dla ojczyzny". Opowiada przytem fakt, jak to on opisał wynalazki z tego zakresu dr. Raimunda Nimführa w jednej z austrjackich gazet. Skutek był taki, że do autora zgłosiło się czeskie poselstwo.

Książka ta wskazuje niedwuznacznie, że już w r. 1924 sfery rasistów i narodowych socjalistów w Niemczech postanowiły zorganizować międzynarodówkę dla celów zorganizowania wszechświatowego państwa pod swojem panowaniem. Wybitnie antykatolickie i antynacjonalistyczne nastawienie związku panaryjskiego nie wyklucza możliwości, że jest jakaś masońska filjacja. Walka natomiast z parlamentarną demokracją, która naogół nie ma dziś w świecie dobrego imienia, oraz walka z żydami wskazywałaby na to, że mamy tu do czynienia z temi grupami masońskiemi, które są nastawione antyżydowsko. Mogłyby tu wchodzić w grę tylko niemieckie loże staropruskie. Najniebezpieczniejsze jest nastawienie kastowe całej organizacji. Podkreślić przytem należy, że niebezpieczeństwo to dla okolicznych narodów nie polega na samej idei kastowości. Ostatecznie przecie i w kastowym porządku ludzie żyją a nawet dochodzą do wysokiej kultury, zamożności i uzyskują bardzo silną podstawę biologiczną, jak to wszystko widzimy u Hindusów. Niebezpieczeństwo leży w czem innem. Oto odwołanie się do imaginowanej rasy i arystokratyzmu, skonstruowane w dużej mierze na eksport, może godzić w sąsiadów zarówno bezpośrednio jak też pośrednio. W pierwszym rzędzie hasła związku panaryjskiego mogą przysparzać organizacjom tajnym tego typu, członków z naszej arystokracji, najwyższych sfer wojskowych, elementów faszyzujących i antysemickich. Mnie już naprzykład obecnie niepokoją pewne objawy u naszej arystokracji. Galwanizuje się np. stare, dawno przebrzmiałe zakony rycerskie, tworząc w ten sposób pewne organizacyjne podstawy do międzynarodówki arystokratycznej. Za dużo też mnoży się objawów programowego pogaństwa w Polsce. Oczywiście nie trzeba podkreślać, że gdyby związek panaryjski miał jakieś wpływy w Polsce, to użyje ich dla celów, idących po linji niemieckich zamiarów politycznych.

Oprócz tego jednakże szermowanie kastowością bardzo wydatnie może obniżyć naszą obronną postawę nazewnątrz, usuwając warstwy ludowe od faktycznej i moralnej odpowiedzialności za losy narodu i państwa. Działać będą w ten sposób pojęcia kastowe nawet wtedy, jeśli się całkiem w społeczeństwie nie zrealizują. Stąd należy z tem się obchodzić bardzo ostrożnie.

O bardzo wielkiej możliwości wpływu masonerji na niemiecki ruch rasowy przekonują nas także niektóre niedyskrecje, publikowane pomiędzy rozmaitemi odłamami ruchu rasowego i religijno-pogańskiego w Niemczech. Tak np. B. Kummer w artykule „*Vom Wachstum des Glaubens*", opublikowanym w czasopiśmie „*Nordische Stimmen*" nr. 2 r. 1934 (czasopismo wychodzi w nakładzie Kleina w Lipsku) wyraźnie pisze, że loże „*am nordischem Dome zu bauen*". A trzeba wiedzieć, że Kummer musi dużo w tym zakresie wiedzieć. Jest to redaktor wspomnianego czasopisma oraz apostoł nawrotu do starego pogaństwa niemieckiego.

Zwracając uwagę na możliwości wpływu masonerji na niemiecki ruch rasowy, mam zupełnie konkretny cel na oku. Idzie mi mianowicie o to, aby polscy badacze masonerji kontakt ten, o ile on rzeczywiście istnieje, wyświetlili. Chętnie służę ze swej strony mojemi wiadomościami co do rasizmu.

KAROL STOJANOWSKI

SABBATAJ ĆWI I JEGO ZWOLENNICY

PIERWSZE lata drugiej połowy XVII wieku były świadkami szczególnego zjawiska: ogłoszenia się potomka maranów hiszpańskich Sabbataja Ćwi oczekiwanym zbawicielem mesjańskim synów Izraela. Całe żydostwo tureckie uznało go za swego zwierzchnika. Entuzjazm Judejczyków nie miał granic. Okazywano Sabbataj Ćwi wszelkie dowody czci i miłości. Imponując tłumom niepoślednim rozumem, energją, pewnością siebie, dociekaniami kabalistycznemi i znacznem pochodzeniem (w 18-tym roku życia nosił tytuł chachama), rozpoczął mesjasz żydowski rozdawać swym zwolennikom prowincje i kraje tureckie. Zainteresowały się tem władze w Stambule. Aresztowany i przyprowadzony przed sułtana Sabbataj Ćwi za praktyczną namową swego rodaka lekarza Dodona przeszedł na wiarę mahometańską. Za mistrzem poszła wielotysięczna rzesza zwolenników, porzucając dobrowolnie wiarę ojców.

Jak ongiś pozorne wyznawanie Islamu przez Mojżesza Majmuni nie szkodziło mu w opinji żydowskiej, tak teraz i Sabbataj Ćwi, pozorny muzułmanin, nie przestawał być uważany za mesjasza. Wprowadzając bowiem do tureckiego społeczeń-

stwa liczne rzesze żydowskie, o których „mówiono poprostu, że wzięli turban" (H. Graetz. Historja Żydów. t. VIII str. 127), spełniał on tylko nakazy drugiego Mojżesza. To też kollegja rabinackie na Wschodzie otoczyły specjalną opieką „nowoupieczonych mahometan" i „zagroziły klątwą każdemu, ktoby byłemu Sabbatjaninowi ubliżył słowem lub czynem" (H. Graetz. Historja. t. VIII. str. 125).

Udając pobożnego muzułmanina, nie przestawał Sabbataj Ćwi wraz ze swymi zwolennikami utrzymywać ścisłego kontaktu z prawowiernymi żydami. Niedarmo H. Graetz zaznacza (Historja. t. VIII str. 128), że „zachęcony niewzruszonem przywiązaniem doń żydów pomimo zmiany religji trwał Sabbataj Ćwi w stosunkach z nimi w swej roli mesjanicznej". Wmówiwszy w dygnitarzy tureckich, że jego zbliżenie się do synów Jakóba ma na celu nawrócenie ich na islam, uzyskał Ćwi nawet pozwolenie wygłaszania kazań w synagogach. Liczba pozornych wyznawców Proroka wzrastała. Powoli dokoła zbawiciela mesjańskiego utworzyła się sekta żydowsko-turecka zwana Dönmäh, licząca według Z. L. Sulimy (Historja Franka i Frankistów. str. 22) pięćdziesiąt tysięcy osób.

Po śmierci Sabbataja Ćwi ilość zwolenników jego haseł stale rosła. Zawierając małżeństwa wyłącznie między sobą i spełniając pokryjomu praktyki religji swoich ojców, nie zaniedbywali ci pozorni muzułmanie odwiedzać często meczetów. Do dnia dzisiejszego dönmähni saloniccy, ze środowiska których wyszli w XIX wieku przywódcy młodoturków, obchodzą poza świętami muzułmańskiemi święta żydowskie.

Znaleźli sabbatejczycy i poza granicami Turcji nowych adherentów. W Polsce, Czechach i Niemczech uczniowie zmarłego mistrza szerzyli jego idee. Około 1300 — 1500 członków tej sekty wywędrowało z Polski do Jerozolimy, gdzie wielu z nich przyjęło chrześcijaństwo. Za ich przykładem poszli pozostali w kraju. Niedarmo w swoim artykule „Sabbataizm w Polsce", umieszczonym w zbiorowem wydaniu „Żydzi w Polsce Odrodzonej". str. 267, Bałaban zaznacza, że: „Przy końcu XVII w. przyjęła chrzest większa liczba żydów, która osiadła w Polsce..." Jak ustosunkowywali się nowochrzczeńcy do katolicyzmu dowodzi przykład neofity Eljasza-Eberta, uszlachconego i obdarzonego bogatemi dzierżawami rządowemi, który pod płaszczykiem gorliwego chrześcijanina spełniał przepisy judaizmu.

Na początku osiemnastego stulecia liczba pozornych chrześcijan w Polsce niepomiernie wzrosła. Przyczyniało się do tego ugruntowywanie się sabbataizmu w Rzeczypospolitej, oraz gorliwość misjonarska duchowieństwa katolickiego, przyczyniającego się bezwiednie do realizacji idej drugiego Mojżesza. Dzięki akcji księdza Turczynowicza z Wilna i żeńskiego zakonu Marjawitek, którzy wyszukiwali neofitom możnych rodziców chrzestnych, tysiące żydów przyjęli chrzest. Chętną do tej służby chrześcijańskiej okazała się rodzina Poniatowskich, dalej: Lubomirscy, Sapiehowie, Zamoyscy, Potoccy, Tyszkiewicze, Małachowscy, Chodkiewicze i Platerowie. Starali się oni o jaknajszybsze nobilitowanie chrześniaków i dawanie im odpowiednich stanowisk. Pamiętali też o swoich współbraciach wpływowi potomkowie dawnych neofitów, zajmujący wybitne stanowiska i spokrewnieni z wieloma rodzinami staropolskiemi. Im to zawdzięczali najświeżsi chrześcijanie, nie patrząc na ostrą opozycję warstwy kierowniczej w kraju, nie chcącej dzielić się z nikim władzą, obalenie dawnego prawa, według którego skartabel (*ex charta belli*) szlachcic nowy dopiero w trzeciem pokoleniu stawał się zdolny piastować urzędy szlacheckie. Dla nich uchwalono w 1736 r. nową konstytucję, która pozwalała pomijać skartabellat (*praeciso scartabellatu*) i przypuszczała nowego szlachcica odrazu do pełności praw szlacheckich. Umożliwiło to masom sabbatejczyków wzmocnienie zwartej organizacji mechesów, której złowrogi wpływ Polska niejednokrotnie już odczuła oraz przygotowała grunt dla frankistów.

Liczna nowokreowana szlachta zaczęła w szybkiem tempie zajmować poważne stanowiska w kraju. W spisie bardziej znanych rodzin neofickich owych czasów widzimy: Dziekońskich, piastujących poważne stanowiska duchowne i wojskowe, Dobrowolskich herbu Odyniec — zakonników i starostów, Dessaw, którzy otrzymali godności starostów, Urbanowskich — duchownych na kierowniczych stanowiskach, Jakubowskich — wyższych wojskowych i starostów, Wolańskich — posłów na sejm i w. in. Najwpływowszym wśród nich był jednak Wojciech Jakubowski, starosta lesznowolski, którego zagadkowa rola w ówczesnej Polsce nie została dostatecznie wyjaśniona. Giętki dworak, umiejący zręcznie zyskiwać względy arystokratycznych dam, pozostawał w bliskich stosunkach z Czartoryskimi. Nie przeszkadzało mu to w należeniu do stronnictwa francuskiego, na czele którego stał Jan Klemens Branicki. Hojnie opłacany przez dwór wersalski był on stale nienasyconym i często przypominał doradcom Ludwika XV o „położonych przez niego dla Francji zasługach". Czy polegały one na odpowiedniem nastrajaniu ministrów francuskich do rozgrywających się wypadków w Polsce podczas trwania konfederacji barskiej, tego historja nie podaje. Faktem jest jednak, że kierownicze koła paryskie dość obojętnie ustosunkowały się do wysiłków patrjotów polskich. Do tego zaś Jakubowski mógł się w poważnej mierze przyczynić, prowadząc ożywioną konferencję z sekretnym gabinetem wersalskim za pomocą depesz, których cyfry, jak zaznacza Józef Łaski w swoim artykule pt. „Wojciech Jakubowski" (Bibljoteka Warszawska 1873 r. t. IV str. 267, 68), on jedynie znał w Polsce. Wielki przyjaciel ks. arcybiskupa Łubieńskiego afiszował się starosta lesznowolski ze swoją pobożnością, co nie przeszkodziło mu odwiedzić przebywającego w Częstochowie Jakóba Franka, w otoczeniu którego znajdował się bliski jego krewny rabbi Nachman, późniejszy Piotr Jakubowski, przyjaciel i doradca mistrza. Może otrzymał tam Wojciech Jakubowski, nazwany przez Łaskiego „przyjacielem króla Stanisława", wskazówki od tego „politycznego mesjasza upadającej Polski" (Franka), jak przyśpieszyć upadek konfederacji, a tem samem i państwa polskiego.

STANISŁAW DIDIER.

PO PROCESIE JEZIERSKIEGO

PRZESTĘPSTWO SAMURAJA

POZNAŁO się dwoje ludzi. Rozwija się między nimi coś takiego, co się nazywa „miłością”. Widzą, że dookoła to się jakoś nie klecі. Oni jeszcze raz, tak jakby się od nich świat zaczynał — (historja stara, ale wieczyście nowa!) — wbrew widowisku świata, postanawiają sobie wznieść pomiędzy sobą miłość jedyną i wierną, jakiej niema i nie było. Ale przychodzi czas kiedy ten poryw heroiczny rozpręża się, rozpacza się. Pomiędzy dwoje ludzi wchodzi trzeci, dla którego figlem jest to, co dla tamtych jest wielka rzecz, a w każdym razie wielka rzecz dla tamtego mężczyzny. Przed mężem kobiety jawi się straszliwa zagadka: Co jest w niej prawdą, czy twarz i zapewnienia, któremi ona jego darzy, czy twarz i zapewnienia, któremi darzy tamtego? I co wogóle jest prawdą? Czy kłamstwem jest jej czułość dla niego, czy też urojeniem jest, że z tamtym w jakieś tajne związki weszła? Po czem poznać jedno i drugie? Zaczyna się straszliwa „teorja poznania” zazdrości. Jeśli nie jest prawdą, że się jest zdradzonym — to pocóż te niesprawiedliwe i niszczące podejrzenia? Ale jeśli jest prawdą, to jakże brać od żony ochłap, ochłap upadlający, jałmużniczą darowiznę jej ciała? Zaczyna się trawiący do dna proces zazdrości. Wprawdzie w powietrzu rozpylona jest gęsto sugestja matematyków Russellów, że zazdrość jest poniżająca dla tego kto na nią cierpi, że zazdrość jest przeciwna prawdziwej wolności, że zazdrość jest zabytkiem barbarzyństwa, że zazdrość jest niehumanitarna. Ale ten człowiek czuje w sobie głęboką pogardę dla łatwizny małżeństw libertyńskich, związanych tylko wygodą seksualną i gospodarczą, dla nihilizmu małżeństw „przyjacielskich”, zwierzających się sobie łagodnie ze swych miłostek ubocznych.

Bierze rzecz poprostu z całym patosem człowieka rzetelnego, dla którego druga w małżeństwie strona jest wszyskiem albo niczem: jeżeli mieć ciało, to mieć i duszę, ale jeżeli duszę, to sprawa cielesna musi być znakiem oddania się duszy, jedynym i wiernym, tak niewymiennym, jak niewymiennemi są dusze miłujące się. Jakżeby więc człowiek tak czujący mógł zgodzić się, aby żona dzieliła swe oddanie się między niego i jeszcze kogoś, jakiegoś obcego?! Wszystko co w nim jest rzetelne, powstaje groźne i nienawistne przeciw temu przypuszczeniu.

TRAGICZNY DYLEMAT

Całe jego życie zawisa na tym dylemacie: Być stadowcem, który nie zna idei wyłączności miłosnej, czy być szlachcicem ducha, który nie zna wymienności tam, gdzie się całą swoją osobę oddaje? Czy stać się giętkim filistrem, który umie przystosować się do wszystkiego, i znosić pokornie wszystko, co się święci, czy pozostać człowiekiem rzetelnym, to jest człowiekiem zdolnym do tragizmu, który umie wszystko stracić, aby rzetelnym pozostać? Czy stać się obrazem tchórza, który się cofa przed srogością swojego prawa, czy pozostać, jakim się było, żołnierzem, oficerem, każdej chwili gotowym do oddania głowy za prawo? Tymczasem sprawa ciągnie się; żona przychodzi do domu, wychodzi z domu, schodzi się z tamtym. Już i świat o tem wie i są tacy, którzy dziwią się, że człowiek kiedyś dzielny nie umie temu zapobiec. Czy się dziwią słusznie? Słusznie, bo człowiek honoru nie dzieli się z nikim swoją żoną; słusznie, bo człowiek mężny powinien dla honoru wszystko poświęcić. Trzeba więc wyrzec się kobiety— jeśli tam, po tamtej stronie, jest miłość. Od kobiety nie dowie się niczego wyraźnego. Ale jest tamten, też mężczyzna. Idzie więc do niego i pyta go prosto: „Czy kochasz pan tę kobietę? Jeśli tak, wyrzekam się jej — ale dla pana”. Opuścić kobiety nie chce, bo widząc, co się z nią dzieje od czasu poznania się z tamtym, przekonany jest, że opuszczona przezeń, a nie oparta o małżeństwo, choćby z tamtym, stoczy się nisko; tego zaś wyobraźnia jego nie chce dopuścić. Idzie więc do tamtego. Ale tamten kręci; czy ten więc ma zatrzymać kobietę przy sobie — i czy dalej ma być świadkiem bezczynnym i bezwstydnym, jak tamten woła sobie jego drogą kobietę, kiedy mu potrzeba?! Więc opuścić żonę? Oddać ją samotności dla niej niebezpiecznej, lub na łup tamtemu człowiekowi, samemu zaś kapitulować, odejść z miłością nieuleczoną, ale miłością bez żadnej już nadziei i wiary? Na tym dylemacie, który trzeba rozstrzygnąć zawisa całe jego życie. Życie jakkolwiekbądź zniszczone, bo albo przez pleśń brudną oportunizmu i tchórzostwa trawione, albo złamane. Tu rozgrywa się przeraźliwa tragedja, a tamten bawi się. Czy jest możliwe, ażeby jedna i ta sama istota przynależała do systemu czyjejś błahej, rozpustnej igraszki i do systemu czyjegoś najważniejszego i najuczciwszego życia? Z taką sprzecznością życie uczciwe trwać nie może. Tu było życie — a oto przychodzi ktoś obcy, nieznany, przypadkowy, ktoś niezdolny pojąć najniższej ambicji tego życia — i dla swej igraszki, dla swej próżności, dla swej seksualnej wygody, bez namysłu niszczy życie. Z kobiety, która dla kogoś była błogosławionym równiem, tamten robi naczynie dla odprowadzania swych erotycznych efuzyj— i napełnioną przez siebie zostawia ją mężowi, a człowieka, który z żarliwie dobrą wolą brał się do budowania współżycia pięknego i wzorowego— tamten, obcy, przychodzień, stawia niespodzianie w sytuację bez wyjścia, robi z niego wykolejeńca moralnego albo samobójcę. Czy tak powinno być? Oto jest pytanie. Czy tak jest sprawiedliwie? A jeśli tak nie jest sprawiedliwie, to czy niesprawiedliwość ma być bezpieczna, sprawiedliwość bezbronna? Jeśli zaś sprawiedliwość bronioną być ma, to jakże inaczej, jeśli nie przez pomstę na niesprawiedliwości? Któż więc w danym razie wymierzy karę? Państwo w takie sprawy nie wgląda, (i może słusznie?) Ale tu dzieje się rzecz potworna: jeden drugiego zadeptał we własnych wydzielinach dla własnej zabawki. Kto upomni się o niesprawiedliwość, kto postąpi tak, ażeby pragnienie sprawiedliwości otrzymało choćby lichą namiastkę, kto karę wymierzy? Na całej ziemi i pod całem niebem tu jest tylko jeden sędzia, do

sądu i kary powołany: on sam, pokrzywdzony. Czy kara ma być błaha, czy ma być śmieszną komedyjką „honorowego załatwienia sprawy”, po którem wszystko pozostaje po staremu, wszystko co gniło, gnije dalej? Nie, jedynie godna sytuacji tragicznej jest katastrofa tragiczna; jedynie godna zbrodni zniszczenia życia będzie kara odebrania życia. Ale wymierzenie tej kary też będzie zbrodnią! Cofa się wszystko w porządnym człowieku przed tą myślą. Ale ta myśl jest myślą prawa. Drży wszystko w duszy chrześcijańskiej przed tą myślą. Ale ta myśl jest myślą sprawiedliwości; jeśli społeczeństwo karze w imię porządku moralnego, to ma prawo karać i człowiek jednostka w imię porządku moralnego, tam gdzie społeczeństwo jest bezsilne — lub nawet choćby wbrew społeczeństwu! Jeśli się społeczeństwo wyjałowiło ze wszystkiego, co jest „na serjo” — niech się pokaże człowiek, który dla swego „na serjo”, musi byś tragicznym i nawet zbrodniczym.

Cóż z tego, że społeczeństwo toleruje stadowość seksualną? On pozostał moralnym szlachcicem, który broni spraw miłosnych niewymiennych, schludnego porządku życia — choćby kosztem swego życia. Takie są myśli umęczonego człowieka.

Podgrzewa je namiętność, nienawiść i zazdrość. Ale te myśli długo, w samotności nocy ważone, upewniają się coraz bardziej, jako myśli sprawiedliwe i legalne. Namiętność, która je podgrzewa, nie jest pozbawioną godności: Jest to namiętność na usługach prawa niepisanego wprawdzie, ale wyrytego w sumieniach uczciwych. Zbrodnia już fermentuje w duszy. Wtedy djabeł i śmierć stają u boku człowieka. Ale dziwna rzecz, potwory zażegnać, to się swej rycerskości pozbyć. Rozmięknąć w maśle pospolitej powszedniości. Że zbrodnia jest rzeczą straszliwą — cóż z tego? Czy mężczyzna i oficer nie powinien zdolnym być do spraw straszliwych, jeśli tylko sprawiedliwemi będą?

ZBRODNIA I KARA

W niesamowitą samotność grąży człowieka zwyczajnego myśl o rzeczach niezwykłych a groźnych: Obraz współludzi ucieka gdzieś w przestrzeń nieskończoną — ale nie maleje: są zbliska, ale jakby ich nie było: Oni widma, czy samemu jest się widmem? Słychać ich głosy i kroki, a jest tak jakby już milczenie wiekuiste panowało; świeci słońce i jest jasno, ale to jest jasność tamtego świata, ciemnością śmierci wyścielona. Wahanie się długie i utrudzone. Panowanie przeklętej ambiwalencji: Raz po raz to co powinno być, bo jest na serjo i jest sprawiedliwe jawi się ze straszną twarzą obłędu, i raz po raz to co jest nie do zniesienia i jest nikczemne, jawi się z dobroduszną maską bywałości — „jakoś to ludzie znoszą, nikt tego tak nie bierze...” Lecz oto znienacka, chyłkiem, podstępnie, decyzja ostateczna dłonią przemożną chwyta za łeb i wiedzie człowieka teraz niewolnego: Już dojrzały myśli okropne i już na chwilę oszalała dobrodusznie szydercza, a w tysiączną logikę uzbrojona „trzeźwość życiowa” i już człowiek samego siebie zaskakuje i już z nieludzkim spokojem patrzy na dokonane, bo oto już stał się śmiertelny skok woli.

Człowiek zwyczajny dostał się w przestrzeń niebywałą. W danym wypadku śmieszny akcydens kończy sprawę bezpatetycznie i... raczej szczęśliwie. Rewolwer się zacina, rzecz kończy się na jakiemś ostrem narzędziu pod ręką, niema ani morderstwa, ani samobójstwa. Ofiara por. Jezierskiego, p. Różycki, aktor, wyszedł cało, odniósłszy tylko lekkie skaleczenie policzka. Zeznawał w sądzie jako świadek, postępowanie swoje tłumaczył „nowoczesnością, postępem i duchem czasu”, pozatem podawał elegancko, że to on był prowokowany przez kobietę. Oskarżony wymówki tej nie przyjął do wiadomości; o sobie wyznał, że działał z przekonania: chciał uwolnić swoją żonę od społecznego szkodnika; jako chrześcijanin uznaje swą winę; przyznaje też, że postąpił bezprawnie z jurydycznego punktu widzenia — ale zarazem wie, że działał z prawych pobudek, przeto skruchy nie czuje.

To wyznanie było punktem zaczepienia dla pana prokuratora. Gdyby oskarżony był zwalił swój występek na „namiętność”, „wzruszenie”, — (czyli wybryk!...) — o, to byłoby coś usprawiedliwiającego. „Usłyszano jednak co innego”. Pobudek społecznych — (to jest działania w imię porządku moralnego) prokurator nie może uznać; do obrony jego, w danym razie do obrony małżeństwa, powołane jest wyłącznie państwo; ale państwo w ostatnim kodeksie karnym, odrzuca karę za wiarołomstwo. Stąd p. prokurator wysuwa wniosek: „Nie można stosować średniowiecznych pasów cnoty i na tem opierać tak ważnej społecznie instytucji. Prawdziwą podstawą małżeństwa może być, zdaniem prokuratora, dobór intelektualny i uczuciowy i fizyczny. Jeśli to będzie, to osobliwi obrońcy instytucji małżeńskiej w rodzaju Jezierskiego staną się niepotrzebni”. Pan prokurator poszukiwać kazał „trwalszych podwalin” wierności małżeńskiej niż „pręgierz” (?). (Cytuj według artykułu w I. K. C., który nosi tłusty tytuł streszczający kurjerkowy miraż tragedji: „Nie można stosować średniowiecznych pasów cnoty...” — a niżej: „Charakterystyczna mowa prokuratora i wyrok w procesie zazdrosnego męża aktorki”, (nr. z 8.V 1934 r.).

Nie wiadomo mi, czy adwokat oskarżonego replikował p. prokuratorowi tem, że — w ogólności, — jeżeli każdy ma prawo, i to dla własnej rozrywki, eksperymentować na małżeństwie sąsiada, czy jest akurat idealnie dobrane „fizycznie, uczuciowo i intelektualnie”, to co będzie z tą dla p. prokuratora „tak ważną skutecznie instytucją”?... A w szczególności, na jakiej podstawie ów p. Różycki był uprawniony do takiego opukiwania małżeńskiego doboru „intelektualnego, uczuciowego, fizycznego” Norbertów Jezierskich? Zwłaszcza, że p. Jezierska, jak się z zeznań jej okazało, nie była całkiem obojętna dla męża i p. Różyckiego nie postawiła na równi z mężem. Pozatem, do prokuratora, którego każde słowo powinno mieć całą powagę prawa należy li-tylko w imieniu prawa występować, a nie subjektywnie filozofować i gdyby prokurator był dowodził, że nikt nawet najbardziej pokrzywdzony niema prawa szukać sobie sprawiedliwości poza istniejącym porządkiem prawnym—wtedy wszystko w porządku; wtedy do obrońcy należy na tym samym punkcie stanąć — i tylko przywodzić okoliczności łagodzące; wtedy rzecz jest w obrębie nagiego prawa— i jedynem, co pozostawałoby patrzącym z boku do stwierdzenia, to to, że życie niesie między swemi sytuacjami tragicznemi i takie, w których trzeba wybierać między temi dwiema wartościami: prawem pisanem i prawem moralnem. Ale skoro pro-

kurator opuszcza teren prawa i osobiście filozofuje na temat małżeństwa — to wolno każdemu obywatelowi filozofji tej przeciwstawić inne filozofje, tamtej filozofji modnej, a „postępowej" Russellowskiej łatwiźnie — pogląd na te sprawy i konserwatywny, wynikły z życia psycho-moralnie sprężystego, w którem ludzie nie bawią się w pulchną — burżujską wzajemną tolerancję, bo całych siebie rzucają na pastwę drugiemu człowiekowi, z którym się zwarli życiem i miłością.

Jeśliby nawet między Jezierskimi zaczynało się było coś psuć — to to była ich sprawa i ich zadanie, żeby wyrównać co się chwieje; sprawa napewno nie banalna i zadanie pewno niemałe — wszak nie z gazety się pobrali, dla interesu, ale z jakiejś skłonności żywej, i zaczęli z dobrą wolą. Więc, jeśliby nawet, powtórzmy to, obcy jakiś człowiek dostrzegł był jakieś słabe miejsce w ich wzajemnym związku — to jakież przysługuje prawo obcemu, aby między poważnionych małżonków, jak pasorzyt na słabsze miejsce ciała rzucał się, wciskał się do środka, poił się ich krwią, intoksykował swemi wydzielinami i do zgnilizny doprowadzał to, co jeszcze może mogło być uleczone? I któż śmie odebrać prawo samoobrony napastowanemu, prawo strzepnięcia pasorzyta? Jeśli nie przewiduje tego prawa kodeks pisany, to jednakże sądowi kodeks zostawia możność jaknajszerszego uwzględnienia okoliczności łagodzących. (Najniższa za to przestępstwo kara wynosi 6 miesięcy).

W danym wypadku sąd okoliczności łagodzących *in re* (bo pozatem uwzględnione „zasługi bojowe" oskarżonego i jego „przeszłość nieskazitelna") nie dojrzał; owszem „sąd po godzinnej naradzie pod przewodnictwem wiceprezesa Dudy, ogłosił wyrok, skazujący N. Jezierskiego na 4 lata więzienia", wybrawszy karę średnią (jako okoliczności łagodzące przyjmując wyżej wymienione) ale jako obciążającą to, że oskarżony nie działał wyłącznie pod wpływem wzruszenia, a przedewszystkiem, że winy swej nie uznał i skruchy nie okazał". Odrazu zastosowano do skazanego areszt bezwzględny i odwieziono go do więzienia.

Skazany nie zapowiedział apelacji. Nie znamy go, ani nie widzieliśmy go nigdy w życiu. Ale wedle tego, jak się jego psychomoralny profil w ciągu procesu w wyobraźni naszej wyrzeźbił, wolno nam przypuścić, że i w tem poddaniu się karze działał jako człowiek honoru, dla którego własne przestępstwo, nawet gdyby z prawych pobudek popełnione, zawsze jest jakąś makułą, i potrzebuje wyszorowania przez pokutę! Jak na serjo brać, to na serjo. Człowiek tego typu, jeśli uniknie kary za swój czyn tragiczny, ma jakiś niesmak: za łatwoby to wszystko przyszło.

REFLEKSJE

W ostatnich czasach, pośród wielu innych strasznych rzeczy, szerzy się jako jedna z epidemij fala zamachów zbrodniczych na tle konfliktów małżeńskich i wogóle erotycznych. Jest tego tyle, że staje się to zagadnieniem społecznem. Jest to znak statystyczny rozkładu nerwowego i moralnego albo bezpośredni albo pośredni. Bo albo ludzie są tak nerwowo rozluźnieni i wyuzdanie samolubni, że nie umieją oprzeć się żadnej okrutnej pokusie i chcą gwałtem panować nad tymi, których pożądają; albo też zamachy te są wyrazem obrony rozpaczliwej i ostatecznej pokrzywdzonych — (a mam tu na myśli kobietę przedewszystkiem) — przez coraz częstszych w rozluźnionej atmosferze moralnej, rozwydrzonych wyzyskiwaczy erotycznych. W takim razie jest w tem zjawisku i jakiś dodatek zdrowia — bo trudno nie uznać, że zdolność do obrony swych praw, choćby z bronią w ręku jest znakiem tężyzny psychomoralnej i że takiejże tężyzny i uczciwej prostoty znakiem jest kiedy się miłość bierze na serjo. Są atentaty niesprawiedliwe i chore, i są zdrowe i sprawiedliwe.

Do mądrych sędziów należy ta niekiedy subtelna, a niekiedy bardzo prosta kazuistyka. Wszystko rozumieć, to wiele przebaczać i wiele potępiać. Nie wart litości taki np. mętny wykolejeniec, galant z pod ciemnej gwiazdy, który nie wiadomo z jakich pobudek zabił kochankę-tancerkę, a który zgrywał się od pierwszej do ostatniej chwili, histerycznie i mizernie imitując „honor"— które słowo w jego ustach stawało się obrzydliwem. Gruntownie odmienny jest Jezierskiego cazus—który nabrał godności reprezentatywnej przez to właśnie, że sprawca nie tłumaczył się rozstrojem woli, ale odwołał się do prawa moralnego. Prawo do zazdrości nie przysługuje byle komu i byle gdzie: musi być czemś bardzo poważnem. W danym stosunku zdobyte; chyba i ślub z dobrej i nieprzymuszonej woli obojga należy do takich warunków domagania się wyłączności miłosnej poważnej?... Bezczelne, urojone i potworne uzurpacje erotyczne powinny być karane srogo, jak każda krzywda. Ale jeśli ktoś został pokrzywdzony istotnie i rzeczywiście, i ma tę straszliwą heroiczną odwagę mścić się, czyli karać krzywdziciela, to kary wprawdzie ujść nie powinien, bo prawo pisane przekroczył, ale powinny znaleźć się dlań okoliczności łagodzące, i to nie ze względu na jego „zdenerwowanie" — bo ulec zdenerwowaniu jest poniżające i nielegalne!—ale wyłącznie ze względu na jego silną wolę obrony swego dobrego prawa.

Dopóki pewne tereny stosunków międzyludzkich nie są objęte działaniem sprawiedliwości społecznej, lub dopóki jej wymiar jest nieskuteczny, dopóty ludzie muszą radzić sobie sami. W danej kwestji, dopóki społeczność niema sposobów okiełznania niesumiennych uwodzicieli, dopóty ludzie, którzy, pokrzywdzeni głęboko, nie wahają się dla ukarania krzywdziciela rzucić na szalę pomsty nietylko jego życia, lecz i własnego życia, dopóty tacy ludzie nie będą psowaczami moralności, ale ofiarnymi zachowawcami moralności. Przez nich broni się kultura wsparta na ideale osobistości, więc ceniąca wysoko przeżycia i stosunki niewymienne, więc szanująca ekskluzywność erotyczną, więc respektujące uzasadnioną zazdrość — przez nich opiera się degradacji na życie słabsze.

Ale zarzuci ktoś, że autor wcale się nie liczył z moralnością chrześcijańską, z ewangelicznem przykazaniem przebaczenia? — Owszem, autor wie, że moralność ewangeliczna jest najsłuszniejsza ze wszystkich — i dlatego jest najprawdziwsza... Ale Ewangelja jest jakby jakaś masa świetlna nad horyzontem, według niej my chrześcijanie orjentować chcemy pochód ludzkości; gdyby jednak to światło spadło na ziemię, to ziemia spaliłaby się w mgnieniu oka.

Dokładniej ludzie święci rozumieją od wewnątrz Ewangelję i do niej stosują się. Ale nie

jest możliwem, ażeby całą ludzkość naraz i nagle stała się święta; gdyby zaś ewangieliczną dobrocią bezwarunkowo i całkowicie przejęła się jakaś większa grupa, to w mig zostałaby wygładzona z powierzchni ziemi przez swych nieewangelicznych bliźnich. *Charitas* można w życiu zbiorowem stosować tylko w ściśle wymierzonych dawkach.

Sprawiedliwość jest właśnie taką, do zniesienia jej przez zbiorowość dostosowaną dawką miłości. Wybaczenie jest święte jeśli jest prawdziwe; ale nad oportunizm pod maską wybaczenia, wyższą jest nieubłagana walka o sprawiedliwość.

Gdzie zaś o sprawiedliwość społeczność nie postarała się, tam człowiek — jednostka, ma, jeśli nie obowiązek, to prawo do wojny o sprawiedliwość. Taka jest teza generalna, której niniejszem przy okazji dowodzono.

SIMPLEX

WYCHOWANIE W AMERYCE

NA RYNKU księgarskim ukazały się dwie interesujące książki z dziedziny pedagogiki amerykańskiej[1]). Książki te dają wiele do myślenia i zasługują na uwagę tembardziej, że pisane są na podstawie osobistych obserwacyj znanego pedagoga i studjów jego w bibljotekach uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku.

Dr. Mieczysław Ziemnowicz podzielił bogaty materjał na dwie części. Książka p. t. „Szkolnictwo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej" — zawiera wiadomości o organizacji szkół amerykańskich, ideologja zaś wychowawcza znajduje się w drugiej książce p. t. „Nauczanie i wychowanie w Stanach Zj. A. P." Obie razem dają pełny obraz stosunków w tej dziedzinie.

We wstępie autor zaznacza, że będzie usiłował patrzeć na nie objektywnie, nie z europejskiego punktu widzenia. Nasuwa się uwaga, czy objektywizm wogóle jest możliwy wobec podświadomości myślenia, a zresztą — czyż kryterjum europejskie, wyrosłe na wielowiekowem doświadczeniu i kulturze — może być czynnikiem tamującym sprawiedliwą ocenę nowej rzeczywistości?

Ze spostrzeżeń autora wynika, że Ameryka teraźniejsza wstydzi się swej przeszłości i zaciera ślady dawniejszej zależności kulturalnej od Europy. Zrywa więc z tradycyjnem wychowaniem i nauczaniem i stara się przystosować je do warunków i potrzeb lokalnych. Tworzy przez to nowe wartości cywilizacyjne, które, drogą wymiany, przenikają do Europy, odświeżają jej ducha i zmuszają do niejednej korekty w metodach postępowania z dzieckiem na terenie szkoły.

Godną podkreślenia jest waga, jaką Amerykanie przywiązują do kwestji wychowania szkolnego. Opierają na niem swoje wpływy na całe społeczeństwo, gdyż przez dzieci docierają do starszych, a tych ostatnich nie wahają się również szkolić na sposób amerykański. Ta sama szkoła w dzień uczy małych, wieczorem starych. I na jednych i na drugich oddziaływa potężnie duch amerykanizacji.

Wiemy czem jest ten Moloch: chłonie miljony emigrantów, zaciera ich cechy narodowe, asymiluje, naturalizuje bez reszty.

A z drugiej strony stanowi niewątpliwie czynnik kulturalny dla różnych przybyszów - obieżyświatów; uczy ich poszanowania prawa, obowiązków obywatelskich i wspólności interesów. Zaczynają rozumieć konieczność wysiłków dla dobra ogólnego i oto powoli stają się obywatelami, jeszcze krok—a staną się patrjotami tej dziwnej, różnojęzycznej Ojczyzny.

Amerykanie chcą za wszelką cenę uchodzić za naród. Dla europejczyka, opierającego pojęcie narodowości na rasie, nie wystarcza wspólność interesów. Interes pieniężny stanowi podwalinę stosunków amerykańskich. Autor zastanawia się nad przyczynami tego zjawiska i dochodzi do wniosku, że ideową przyczyną jest upadek idealizmu z powodu sceptycyzmu religijnego, wytworzonego nadmierną ilością wszelakiego rodzaju sekciarstwa, zaś przyczyną zewnętrzną — napływ emigrantów z całego świata, ludzi, mających na celu rychłe wzbogacenie się. Osiadają oni w miastach, chwytają się każdej pracy, pracują dużo, gorączkowo, wytwarzają wielki przemysł i handel.

Demokratyzm i utylitaryzm przenikają wszystkie komórki życia społecznego, przenikają do szkół, do idei wychowania i metod nauczania.

Szkoły powstają po to tylko, aby przygotować zastęp młodych sił do pracy w gospodarce krajowej, handlu i przemyśle. Szkoły zawodowe nabierają największego znaczenia. Programy układane są pod kątem widzenia praktyczności przedmiotu nauczania. Metody eksperymentalne święcą swe trjumfy. Teorja jest wzgardzona, bo niepożyteczna. Jedyną ideologją jest humanitaryzm. Religja jest wykluczona ze szkół państwowych nowego typu, istnieje tylko w prywatnych, zakładanych przy kościołach.

Szkoły elementarne i zawodowe zerwały z tradycyjnem nauczaniem pod koniec XIX wieku. Zachowało się ono w wyższych klasach szkół średnich i uniwersytetach. Przewrotu ideowego dokonał Dewey. On to był twórcą filozofji wychowania amerykańskiego i pierwszej szkoły eksperymentalnej, opartej na psychologji dziecka i praktycznem nauczaniu.

Znani psychologowie z końca XIX wieku (James, Hall, Terman, Freeman, Thorndike) wykreślili pedagogom amerykańskim drogę postępowania z dzieckiem i metody nauczania. Pajdocentryzm staje się podłożem wszelkich nowych poczynań programowych. W niektórych szkołach dochodzi do takich dziwolągów, że wyboru materjału naukowego dokonywuje samo dziecko, jego zainteresowania.

Inne kierunki pedagogiczne są mniej ekscentryczne. Ze znanych autor omawia: uczenie się pod kierunkiem nauczyciela, metodę projektów, metodę daltońską oraz „Winnetka plan" i plan Wirta.

---

[1]) Dr. Mieczysław Ziemnowicz. „Szkolnictwo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej„. Tegoż autora „Nauczanie i wychowanie w Stanach Zjednoczonych A. P." — Warszawa 1934. Książnica Atlas. Bibljoteka Pedagogiczno-Dydaktyczna, № № 12 i 13.

Cechą charakterystyczną tych systemów wychowawczych jest rozwinięcie w dziecku samodzielności i inicjatywy naukowej i życiowej, oraz wdrażanie w życie społeczne. Rozwój indywidualizmu („Winnetka plan) — ale na zasadach wspólnoty. Indywidualne zdobywanie wiedzy — przez lekturę, ćwiczenia, oraz uczenie się grupowe, łączenie wspólnych zainteresowań. Nauczyciel staje się tylko doradcą, kierownikiem samodzielnej pracy ucznia.

Szkoła zmieniła swój wygląd: klasy nie istnieją, są tylko pracownie do poszczególnych przedmiotów (metoda daltońska).

Opieką nad miejskiem dzieckiem zajmują się głównie szkoły według organizacji Wirta. Przedłużył on dzień szkolny do 8 pełnych godzin i stworzył w szkole świat dziecka pod hasłem: praca, nauka, zabawa. Ważnym czynnikiem w życiu szkoły jest tu audytorjum, t. j. sala teatralna. Przedstawienia ilustrują i wykańczają naukę, dają wyraz artystycznym dążeniom młodzieży.

Prawdziwą manją amerykanów jest mierzenie wszystkiego, zestawianie wyników. W nauce szkolnej rozpowszechnione jest testowanie uczniów. Testy psychologiczne są objektywnym sprawdzianem pracy indywidualnej. Cel testów bywa jednak często wypaczany: nauczyciel musi dociągać naukę do otrzymywanych testów, test staje się przez to celem samym w sobie. Tego rodzaju egzamina odbywają się nieraz co tydzień.

Dr. Ziemnowicz przytacza oficjalne wskazania wychowawcze, ułożone przez urząd wychowania w New Jork'u. Oto główniejsze z nich: 1) kultywowanie zdrowego moralnego sądu aby uczeń odróżniał jasno co dobre, a co złe; 2) budzenie miłości dobra prawdy i piękna; 3) wyrabianie panowania nad sobą; 4) pielęgnowanie ducha ofiarności; 5) podtrzymywanie wysokich ideałów.

Zamiast przykazań religijnych, o przemożnym autorytecie Boskim, podsunięto — ludzkie kryterja, oparte na filozofji humanitaryzmu, ubóstwiającej człowieka i jego doczesne potrzeby. Wprawdzie wysunięto konieczność kształcenia charakteru — jednak nie dano dziecku dostatecznych motywów (nadprzyrodzonych) w celu dokonania na sobie przymusu wewnętrznego.

To przekreślenie pierwiastka religijnego w nowoczesnem wychowaniu amerykańskim stanowi jego zasadniczą lukę, czyni je niepełnem, gdyż nie uwzględnia wszystkich potrzeb duszy ludzkiej.

Dr. Ziemnowicz nie porusza tej sprawy w swej książce, prawdopodobnie, nie widzi w tem niebezpieczeństwa dla moralnego charakteru młodzieży.

Wprawdzie szkoły amerykańskie silnie przestrzegają dyscyplinę w życiu zbiorowem — to jednak ten zewnętrzny przymus nie zastąpi nigdy wewnętrznego, płynącego z idealnych pobudek.

Zwłaszcza sztandar Stanów Zjednoczonych otoczony jest szczególną czcią. Waszyngtońska konferencja poleca, aby go pozdrawiać w największem skupieniu: mężczyźni zdejmując kapelusz, prawą rękę trzymają na lewym ramieniu, kobiety kładą prawą rękę na sercu.

Małe dzieci i młodzież codziennie powtarzają specjalne pozdrowienie wobec sztandaru rozwiniętego w klasie:

„Ślubuję wierność sztandarowi Stanów Zjednoczonych Ameryki i Rzeczypospolitej, którą reprezentuje: jeden naród niepodzielny, wolny i sprawiedliwy dla wszystkich".

Tak się tworzy poczucie narodowe! Ameryka może uczyć patryotyzmu niejeden naród europejski nie będąc sama narodem we właściwem tego słowa znaczeniu. Przyznajemy, że amerykanie w wielu wypadkach budzą w nas szacunek, wszakże nie dlatego, że są „wolni od tradycji, wolni od przesądów i uprzedzeń" — jak twierdzi autor. Sympatja do Ameryki każe mu zaprzeczać jakoby materjalizm był istotną cechą życia amerykańskiego. Widzi w niem o wiele więcej idealizmu niż w Europie.

Jeszcze parę słów o organizacji szkolnictwa amerykańskiego. Przymus szkolny został tam wprowadzony między 1852 a 1918 r. Poszczególne stany realizowały go w sposób rozmaity; przeciętnie obejmuje on dzieci od 5-go do 16-go roku życia. Rok szkolny trwa od 3-ch do 10 miesięcy. Soboty i niedziele są wolne od nauki. Ze względu na opiekę nad dzieckiem dzień szkolny trwa coraz dłużej, do 7-miu, 8 godzin. Szkoła dąży do całodziennej opieki, niwelując temsamem wpływ rodziców, pozbawiając ich prawa boskiego do kierowania swem dzieckiem.

Znamienny jest wpływ społeczeństwa na nauczanie w szkole. Życzenia rodziców nie pozostają bez wpływu na politykę szkolną. Rodzice mogą usunąć nauczyciela w razie jego zgubnego wpływu nn młodzież. Czytamy, że w stanie Kentucky pozbawiono posady nauczyciela za nieodpowiednie nauczanie o ewolucji. Stany Tenesse i Mississipi w 1925/26 przyjęły ustawę, zabraniającą „uczenia jakiejkolwiek teorji, która przeczy boskiemu stworzeniu człowieka, jak tego uczy biblja". Niesłusznie utrzymuje p. Ziemnowicz, jakoby fakty te świadczyły o ciemnocie społeczeństwa, są raczej przejawem dużego krytycyzmu, wobec różnych przemijających hipotez naukowych.

Obok szkół państwowych, bogato wyposażonych w nowoczesne budynki i pomoce naukowe— istnieją szkoły prywatne o charakterze narodowowyznaniowym. Nie są one traktowane życzliwie przez władze szkolne, gdyż przeczą zasadniczej idei — jednolitości typu nauczania amerykańskiego.

Ciekawem zjawiskiem są prywatne uniwersytety, powstałe z fundacyj zamożnych ludzi. Na czele tych uczelni stoją nie ludzie nauki, lecz przemysłowcy, którzy przez administratorów swych rządzą instytucją tak, jak swojem przedsiębiorstwem. Stypendjów jest dużo, pomimo tego że zakłady naukowe, połączone są internatami. Istnieje pozatem silnie zorganizowana oświata pozaszkolna, prowadzona w duchu amerykanizacji cudzoziemców.

Na zakończenie kilka uwag. Książkom dr. Ziemnowicza zawdzięczamy wiele cennych wiadomości, które zmuszają nas do głębszego zastanowienia się nad metodami pracy szkolnej.

Wpływ Ameryki na Europę jest niewątpliwy, we wszystkich dziedzinach życia, a tem samem i w szkolnictwie. Wszakże naśladownictwo byłoby w wielu wypadkach zgubne. Każdy naród musi sam wytworzyć swe wartości nieprzemijające. Naśladowanie tylko wówczas jest bezpieczne, kiedy przejdzie przez filtr krytycyzmu.

J. G.

NA WIOSNĘ

PIEŚŃ WIOSENNA

...wykarmiły Cię borsuki zimą —
tarzałeś się oziminą,
czarny, oziemiony i dziki
uczyłeś śpiewać słowiki.

Kołysała cię przydrożna wierzbina
djabelskiego, kudłatego syna —
podkuł cię stary kowal. W kuźni buchnął ogień i twarz ci [osmalił —
nigdzie cię nie poznali.

Uszy masz kosmate, jak pies—kopytami walisz o bruzdy.
Chwytasz konie za pysk u wodopoju. Szarpiesz klacze sprzę-[żone za uzdy —
toczysz się po łąkach, jak kula—zgniotłeś kwiaty — i w wo-[dzie-ś się chlapał —
Gonili cię! Gonili! I nikt cię nie złapał.

...nie gadaj nic. Wiem gdzie mieszkasz. Wiem. Zdradziła sowa.
Widziałam. W starej dziupli rogi i kudłata głowa.
Jedno mi powiedz, a nie wydam:
kiedy grasz,
skąd się biorą słodkie nuty, dzikie nuty...
skąd je znasz?

WIOSNA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

To wiosna, moja miła —
bacz — byś się nie zgubiła
w zielu, szaleju, w skowronkach
na nadniemeńskich łąkach.

Stopki twoje tak drobne —
ciżemki strojne, ozdobne
— kwiaty cię otoczyły —
— motyle przesłoniły.

Nad łąką, jako puch się ważysz,
nie widzę najdroższej twarzy —
— dzierzgana-ś na powietrzu
nicią — od pajęczej — lekszą.

kształt twój się chwieje i mgławi...
jakoż cię samą zostawić...
wśród braci — wyrwidębów
zamkniętą w leśnym kręgu? —

...rozwiejesz się i znikniesz,
w powietrze złote przenikniesz,
o świcie cię z ranną rosą
słowiki na skrzydłach rozniosą...

HANNA JANUSZEWSKA

NA WIDOWNI

Wspomnienie o Władysławie Matlakowskim. — O tem, jak lekarz polski badał Hamleta i leczył duszę narodu z hamletyzmu.

DAREMNIE poszukuję w literaturze historycznej czasów schyłkowych wieku XIX dokładniejszych wiadomości o życiu i pracach Władysława Matlakowskiego. A należałoby młodemu pokoleniu pokazać tego niepospolitego Polaka. Był to znakomity lekarz, uczeń wielkiego Tytusa Chałubińskiego, a jednocześnie odkrywca w dziedzinie twórczości duchowej, autor znakomitego studjum o budownictwie na Podhalu, oraz dzieła o Szekspirze.

Przed czterdziestu laty, w r. 1894, ukazał się dokonany przez niego przekład „Hamleta” [1]). Nikt dzisiaj tej książki nie zna. Podobno nakład jej spłonął wkrótce po wyjściu na świat. Obecnie jest rzadkością i rzecz dziwna nie pomyślano dotąd o powtórnem jej wydaniu. A jest to — zdaniem mojem — poważna pozycja w naszej literaturze. Umysł polski znalazł w Matlakowskim myśliciela, który na przełomie dwu epok przezwyciężał hamletyzm w duszy narodu.

Dzieło Matlakowskiego składa się z dwu części: pierwszą zajmuje wstęp, obejmujący 417 stron druku petitowego po 50 wierszy na stronę, część druga zawiera sam tekst „Hamleta” na 346 stronach (w tem przypisy 26 stron). Tekst podwójny, na jednej stronie angielski, na drugiej obok polski, a obie strony podbite słownikiem do każdego wiersza angielsko-polskim. Razem książka liczy 762 strony. Gdyby ją przedrukować w postaci dajmy na to takiej, jak drukuje się „Przegląd Współczesny”, książka miałaby objętości tysiąc stronic, a w mniejszej ósemce — koło 1500. W każdym razie zawartość na dwa duże tomy.

Znakomity autor przewidywał los swego dzieła: „Książka ta może również wydać się zbytkiem. Płyciutka rzeczułka na mieliznach i odsepach mazurskiego piasku, niosąca urywki francuskiej beletrystyki, przekłady cudzoziemskich powieści, echa wydarzeń przygodnych, leniwo płynąca z dnia na dzień poprzez dzienniki nie może wcale unieść i obracać wielkich zadań nauki i literatury wielkiej ręki... Nauka nie ma u nas tradycji; uprawa jej zawsze była miałką, a do tego od czasu do czasu zawierucha zrywała i tę cienką warstewkę. Książki poważne zalegają dno naszej rzeki umysłowej, a jałowe sterczą”... (str. 397 wstępu).

— — — — — — — — — — — —

Skąd się u nas biorą ludzie z taką potęgą umysłową, jak Matlakowski, pomimo, że płytka jest nasza rzeczułka mazurska? Jest w tem dowód genjalności rasy, na której każda uprawa się opłaca, tak wdzięczną jest glebą dla cywilizacji. Dotknął ją przed wiekiem powiew poetycki romantyzmu; jakież wyniosłe wyrosły drzewa: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński! Z tych samych nasion, które do nas z Niemiec przyszły, gleba niemiecka równie bujnych tworów nie wydała. A w parę

[1]) Wiljam Szekspir. Hamlet, królewicz duński. Wydał, przełożył wstępem wyjaśnieniami i przypisami opatrzył Władysław Matlakowski”. W Krakowie 1894. Czcionkami tłoczni Wszechnicy Jagiellońskiej. Nakładem w połowie tłumacza, w połowie z zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

pokoleń później skromny posiew naukowy, który zawiał z prądem pozytywizmu, jakże plonował u nas na słabo uprawnych grządkach przyrodoznawstwa!

Rys zasadniczy — to humanizm. W atmosferze tego humanizmu tak rzemieślniczy zwykle zawód, jak służba lekarska, wydawał na naszym gruncie przedziwne kwiaty ducha, jak Chałubiński, Matlakowski, Biegański, wzory humanizmu i genjalne umysły twórcze.

Przypatrzmy się, jakie jest połączenie między medycyną Matlakowskiego a jego potrzebą literacką, ciągnącą go do Szekspira. Przytaczamy znowu ze wstępu do „Hamleta".

„Omdlewającemu w boju człowiekowi współczesnemu, dźwigającemu większe brzemię, niż w dawniejszych czasach, toczącemu cięższe walki fizyczne i moralne, szarpanemu wątpliwościami — potrzebne dobre słowo, krzepiące niemoc i kojące serdeczne bóle, stwardniające wolę, hartujące charakter ku podjęciu większych jeszcze zadań w przyszłości. Potrzeba więcej miłosierdzia, zainteresowania, prawdziwego i szerokiego humanizmu...

„Dzieło sztuki może nie posiadać żadnej wyraźnej, podkreślonej dążności, żadnego leżącego na wierzchu celu moralnego, a mimo to być wysoce ludzkim, szlachetnym i podniosłym. Takim jest Szekspir... Patrzmy, jaka ludzkość, jakie współczucie do człowieka, jaki humanizm, jaka szerokość poglądów, jakie strumienie litości, jaka jasność, jaka łuna bije od setek dusz jego! Nawet najgorsze i te jeszcze są dostojne i one mają wyższe chwile! Jakie natężone życie duchowe drga w tych osobistościach, jaki bogaty człowiek wewnętrzny wyłazi, wszędzie dusza prześwieca ciało, niby u robaczka świętojańskiego, jak człowiek zewnętrzny i materjalna strona bytu, acz wcale nie wzgardzona i oddana z umiłowaniem, odchodzi na plan daleki, daleki"!

W Szekspirze Matlakowski znajduje intensywny wyraz życia ducha ludzkiego: napawa się widokiem rzeczy, którą kocha. Treść Szekspira to „dobre słowo", w formie zaś jego artystycznej ceni twórczość „wielkiej ręki". Ale związmy dalej Szekspira z życiem osobistem tego niepospolitego szekspirologa.

„Gdy żyjąc w szpitalu, zbudzony w późną noc do chorego z krwotokiem, wracałem do swojej klety z uszyma pełnemi sapu i stęku, kaszlu i rzężenia, z oczyma oślepłemi od rubinowej krwi, rzygającej z tętnicy na śnieżną bieliznę, gdym przynosił ze sobą wlepiony w swoje oczy — wzrok jarzący, płomienny biedaka, któremu dusza z krwią uchodziła, gdym słyszał dolatujący z kaplicy błagalny chór ludzkiej mizerji, śpiewającej w kornej postawie bizantyjskie „*Kyrje*" lub *Rorate coeli*, znajdowałem ukojenie w tym starym Angliku, w Jobie, w Jezajaszu, w Dantem. Nawet boska „Odysseja" i niemniej boskie jej naśladowanie „Pan Tadeusz" nie były lekturą na te godziny, kiedy dusza drży jak stalowe więźby i przęsła mostu po przejściu pociągu błyskawicznego".

— — — — — — — — — — — — —

I oto nad tą płytką rzeczułką mazurską ten lekarz, którego wielka praca i wiedza lekarska pozostały w pełnej chwały tradycji, zabiera się do ogromnego przedsięwzięcia naukowo-literackiego. Zapewne dopadkami gromadzi koło siebie i studjuje nieprzebraną literaturę o Szekspirze. Istnieją parotomowe dzieła, usiłujące spisać tylko, co gdzie o Szekspirze pisano, a żadne z nich nie wyczerpało literatury. Matlakowski zapanowuje nad Hamletem i jego literaturą. Ustala tekst według najlepszych danych krytyki filologicznej. Pomimo istnienia kilkunastu przekładów polskich, z których żaden go całkowicie nie zadowala, tłumaczy tragedję sam słowo po słowie, układając przytem słownik, który pociąga za sobą studja nad ówczesnym językiem angielskim[2]).

Ideałem piśmiennictwa w oczach Matlakowskiego była wielka twórczość rodzima, podmurowana znajomością literatury powszechnej. Chciał widzieć w języku polskim arcydzieła świata tak wydane, jak on wydaje Hamleta. Dla samej uprawy języka własnego — zdaniem jego — niezbędne są dobre przekłady genjuszów ludzkości. To, co zrobił dla piśmiennictwa swoją książką, daje więcej, niżby mógł dać paroletni kurs uniwersytecki o Szekspirze i jego języku.

Z przytoczonych wyżej paru zdań, można już wnosić, jak niesłychanie interesujące jest to, co pisze Matlakowski. Całe dzieło, nazwane wstępem do przekładu, czytać można jak piękny utwór poetycki, taka oryginalność wysłowienia i obfitość rozpierającej słowa treści.

Trudno zrozumieć, jak w Polsce wystawiano na scenie Hamleta, bez posiłkowania się wiedzą i wskazówkami Matlakowskiego, jak mógł bez tego dzieła obejść się reżyser, aktor, krytyk. A tymczasem jest faktem, że dzieło to, z którem nic równego nie można zestawić w naszej literaturze, jest nieznane nietylko teatrowi, ale ludziom nauki.

— — — — — — — — — — — —

Nie mam zamiaru roztrząsać szczegółowo tego dzieła, chcę tylko przypomnieć o jego istnieniu, a przy tej sposobności złożyć hołd pamięci Matlakowskiego, twórcy „wielkiej ręki", który szukał „dobrego słowa", umiał je „iluminować" i siał w społeczeństwo.

Tak wypadło w Polsce za tamtej generacji, że lekarze brali na siebie misję ratowania społeczeństwa od upadku. Pewno dlatego, że umieli widzieć objektywnie stan ludzi. Społeczeństwo polskie w niewoli chorowało. Oni spostrzegli to pierwsi. Chałubiński, lekarz intuicjonista, łączący w sobie tradycje romantyzmu z polotem myśli przyrodnika, powziął myśl uzdrowienia inteligencji polskiej na łonie natury, w Tatrach, aby tam zetknęła się z prawieczną prawdą i pięknem. Któż powie, co więcej uderzyło wyobraźnię Chałubińskiego w Tatrach: czy przyroda sama z tytanicznemi kształtami gór i cudownem powietrzem, czy legenda życia w te kształty zaklęta? W przyrodzie czytał, jak w księdze, prawdy odwieczne, pisane dla człowieka. Wielbił ją humanistycznie. Zakopane — to dzieło jego żywota — jego poemat i czyn.

Za Chałubińskim idzie Matlakowski, opracowując wspaniałe dzieło o budwnictwie na Podhalu. Obaj oni kończą dzieło romantyzmu polskiego, który wracał umysł polski, wyjałowiony naśladownictwem cudzych cywilizacyj na łono natury przez dalekości uczuć i marzeń. Ci pozytywiści — lekarze uczyli szukać w naturze prawdy życia i fundować na niej rzeczywistość polską. A Biegański, skromny lekarz w Częstochowie, myśl ich wykoń-

²) Dla przykładu przytoczę scenę na cmentarzu w akcie V. gdy Hamlet z pozerem szaleństwa mówi do Laertesa. „Co chcesz uczynić? chcesz płakać, chcesz walczyć, chcesz pościć, chcesz rozedrzeć się, chcesz wypić..., zjeść krokodyla? Po wyrazie wypić w tekstach angielskich figuruje wyraz Essil (fonetyczne Issel), którego nie można było ustalić dotąd, coby znaczył. Przypuszczano że powinna być tu nazwa rzeki. Matlakowski ustalił krytycznie, popierając domniemania pewnego angielskiego pisarza, że mowa tu o Wiśle, którą wówczas wymawiano pewno zpolska. Wiadomo, że w Hamlecie jest mowa o Polakach i wojowaniu z nimi. Nieznane jednak były fakty historyczne, wyglądały te wzmianki na zmyślenie. Niestety nie mógł o tem nic powiedzieć i Matlakowski. Znacznie później młody historyk Wachowski, studjując Sagi, znalazł wzmiankę o walkach Danji z Polakami w w. X, kiedy Polska graniczyła z Danją, jeszcze nie odsunięta od niej przez Germanów.

czał, jako myśliciel, pracując nad logiką i etyką; ucząc Polskę myśleć, ogarniać świadomością charakter — pierwszy warunek uzdrowienia.

Matlakowski szukał tego uzdrowienia u genjuszów świata, szukał „dobrego słowa“, któreby krzepiło niemoc, koiło bóle, utwierdzało wolę, hartowało charakter — „ku podjęciu większych jeszcze zadań w przyszłości“. Byli to wielcy Polacy, pracujący dla przyszłości.

— — — — — — — — — — — — —

Matlakowski, wybredny wielbiciel arcydzieł, przedziwny estetyk, nie poddawał się jednostronności rozkoszy estetycznych, ale myśl swoją konstruował, jak przystało na twórcę przyszłości narodowej. Oto wyznanie jego w końcowej prześlicznej rozprawie o piśmiennictwie współczesnem, pisanej na zamknięcie wstępu, o ile wiem — już na łożu śmierci.

„Społeczeństwo jest naszą macierzą, naszą zdobyczą tysiącletniej pracy i zawodów, naszem środowiskiem, naszą atmosferą. Ono i ono tylko.

„Wszyscy mamy najżywszy, najżywotniejszy interes podtrzymywać je, a nie rozwalać, rozwijać je, a nie psować, szczepić cnoty społeczne, a nie poduszczać do ich zagłady”.

„Podnosić należy energję nerwową, dostarczać zdrowych przyjemności, kształcić wolę, szerzyć przekonanie o potrzebie cierpliwości i umiarkowania, a nadewszystko rozlewać uczucia miłości i braterstwa., współczucia i wyrozumiałości”.

„Bogactwo urosło pracą tłumów, więc bogaci nie mają żadnego trwałego interesu w ciemnocie, zepsuciu i skarleniu fizycznem klasy robotniczej; robotnicy znajdują pracę i utrzymanie w cudach przemysłu, które stworzyła energja, rozum, rzutność, przedsiębiorczość i żelazna praca bogatych; sztuki piękne, ten kwiat i aromat społeczeństwa, przedmiot naszego uwielbienia powstał i utrzymuje się wraz z tem społeczeństwem”...

„Zapomniano o tym zasadniczym fakcie, iż jednostki w społeczności związane są nierozdzielnie z sobą, owszem tak osnute, zespolone, omotane nićmi interesów wzajemnych, że oswobodzić się od nich niepodobna”.

Poglądy, jak widzimy, dzisiejsze, nasze, do których z trudem dochodzimy, roztaczając widok życia cywilizacji narodowej. Matlakowski wyrazu „naród“ nie mógł używać, pisał bowiem w czasach niewoli. Ale widział rzecz dziejącą się w czasie, czuł byt narodowy, pracował nad jego odrodzeniem w niepodległości politycznej.

Myśl wielkich Polaków, gdziekolwiek poczęta, tędy znajdowała wylot. Wszyscy z tego wyroju pozytywistów — w gruncie idealiści i marzyciele — na tem kończyli, cokolwiek robić poczynali, czy Hamleta, czy Tatry, czy filozofję. Wielkie studjum o Szekspirowskim „Hamlecie“ Matlakowski skończył widzeniem wewnętrznego życia narodu. Było to ostatnie jego westchnienie, a dla nas testament.

ZYGMUNT WASILEWSKI

OD REDAKCJI

W odpowiedzi na pytania, dotyczące p. Jana Rembielińskiego, dlaczego nie widać go w „Myśli Narodowej” i dlaczego na listy nie odpowiada, wyjaśniamy, że p. Rembieliński od czasu Świąt Wielkanocnych ciężko chorował na grypę; obecnie miewa się lepiej i za poradą lekarzy przebywa na wsi. Jest nadzieja, że w pierwszych dniach czerwca powróci do pracy.

GŁOSY

A W TATRACH TNĄ... CZYLI: KTO GÓRĄ?

Doniesienia dziennika „Głosu Narodu” z dn. 10.V b. r.:

„Dowiadujemy się, że w Tatrach prace wstępne nad trasą kolejki linowej na Kasprowy Wierch rozwijają się w szybkiem tempie. Na Turniach Myślenickich i w lesie ochronnym wycięto szeroki pas lasu i położono pokotem około 2000 drzew. Fakt ten jest sprzeczny — jak twierdzą — z obowiązującemi przepisami ustawy o ochronie lasów, gdyż pozwolenie na wycięcie tego lasu ochronnego władze państwowe nie wydały”.

Juści, że są gorsze klęski społeczne np. jeszcze gorszem niż zanieczyszczanie krajobrazu, jest, że dla wielu ludzi, przez całe życie jedynym krajobrazem jest widok brudnych zaułków i kamienic od tyłu, z wychodkami na gankach. Tak, ale w międzyczasie mamy prawo do przyrody niezdeflorowanej; jeżeli zaś będą kiedyś lepsze czasy, to te pokolenia zapragną wiele miejsca pięknego i zapytają nas: Jak przechowaliście przyrodę?

To, że w Tatrach już tną smreki pod trasę kolejki górskiej, jest symptomatem. Jak my inteligencja nic nie znaczymy wobec Mammonidesów!... Bo, pominąwszy już całą merytoryczną stronę kwestji — należy stwierdzić, że wypowiedziała się przeciw kolejce ogromna większość tych, którzy jedynie o tem mają coś do gadania, bo chodzą po górach i kochają Boży świat — turystów, miłośników przyrody, znawców, praktyków i teoretyków ochrony przyrody — więc inteligencji. Choćby nawet tytułem hypotezy przyjąć, że i po stronie zwolenników kolejki były jakieś racje — to jednakże wolno stwierdzić, że opinja inteligencji polskiej, niemal jednogłośnie oświadczyła się przeciw kolejce. Za kolejką są — grupa kapitalistów i to podobno cudzoziemskich, szwajcarskich, ze swoim widocznie wspólnikiem i pełnomocnikiem p. Marjanem Dąbrowskim z Krakowa. Wobec tego kwestja staje się poważniejszą: już nie tylko o „etykę górską”, z której mammonidesowi żurnaliści tak sobie szydzą, (— albo znając się na tem jak kura na pieprzu, albo pisząc jak pan każe) — ani nawet o *laesuram maiestatem* ciszy tatrzańskiej idzie, lecz o to: Kto górą? Czy bezinteresowni miłośnicy Tatr, z takimi ludźmi jak szanowni profesorowie J. G. Pawlikowski, nestor idei ochrony przyrody, albo W. Szafer, delegat z Min. W. R. i O. P. do spraw ochrony przyrody i wielu, wielu innych, z wybitniejszymi pisarzami, jak F. Goetel włącznie aż na najskromniejszych młodych turystach skończywszy, — czy też mammonidesy nietylko krakowskie, ale nawet szwajcarskie.

Tak zaczyna się kwestja: kto właściwym gospodarzem tu w Tatrach i w kraju? Ci inteligenci, którzy byli za kolejką, niechaj sobie rozważą, że teraz taka już kwestja w grze, ważniejsza niźli kwestja kolejki, jako takiej. Marjan Dąbrowski od szeregu lat całkiem bezczelnie gwiżdże na to, że cała bez wyjątku od zjazdów katolickich do „Robotnika i „Wiadomości Literackich” opinja publiczna potępiła to notorycznie zbrodniczo-wychowawcze — co wiele rozpraw sądowych okazało — to szubrawe jego pisemko „Tajny Detektyw”, cóż mu więc sprzeciw w sprawie społecznie nie tak groźnej jak tamta —?! Ma za sobą widocznie „plecy” jakieś. Potem sypnie jakąś sumę na wykopaliska, znajdzie sobie dziennikarza, który mu

za to pochlebi, nb. w jego własnem piśmie (p. Zygmunt Nowakowski), no i taki mammonides-Wesparjanus robi się *reverendus*. A wy, panowie intelektualiści, krzyczcie sobie „do maja" — jak się mówi w Krakowie. Gdyby to była prawdziwa, a nie fałszywa pogłoska o tej kolejce, to byłoby to naprawdę wstyd i smutno. Jeszcze raz pokazałoby się, że my inteligencja, więc ośrodek myślowy i ideowy narodu, jesteśmy wobec takich mammonidesów tyle co zero, i — drugi raz zero!...

PRZY SPOSOBNOŚCI OBRAZEK ilustrujący, jak wyglądają szczyty, na które się wspięła kolejka linowa:

„Góry płn-karolińskie. Wycieczka na górę „Mount Michael", 3000 m. Chcę iść piechotą. „Piechotą? Warjat! Przecież jest zębata kolejka!" Zawstydziłem się mego prostactwa i pokornie wsiadłem do wagonu kolejki, która funkcjonowała bardzo sprawnie, zatrzymując się co kilkaset metrów, by pasażerowie mogli się nacieszyć zgiełkiem jazz-bandów, koncertujących w restauracyjnych halach. Kozice, świstaki i orły już oddawna zmieniły swój tradycyjno-poetyczny pobyt w górach, na spokojniejsze bytowanie w dolinach. Głośniki radjowe, umieszczone w wagonie kolejki również urozmaicały podróż. Wreszcie zabłysło czerwone światło, sygnał, że się zbliżamy do szczytu. Nareszcie... Drżący od entuzjazmu, wyskoczyłem z wagonu... ale pieśń: „Góry moje góry, scyty moje scyty", zamarła mi w ustach... Zobaczyłem...

Faceta, który traci posadę, bo mu czuć z ust.

Zrobiłem półobrotu na lewo. Tam zobaczyłem...

Narzeczoną, która zwraca młodzieńcowi pierścionek, bo mu się pocą nogi.

Ratunku! Obracam się na prawo. Przedemną...

Olbrzymia flaszka z kolorowym płynem. Że niby jak się będzie płukało usta ową „Listeryną", to z buzi — fiołki. Obok mydło „Life Buoy". Że niby jak ktoś wymyje nogi tem mydłem, to z nóżek... ambrozja. Cuda, cuda, cudeńka...

Zakryłem oczy zrozpaczony. Wybawienia! Obracam się w tył...

Ach! Facet już odzyskał posadę, bo sobie wypłukał usta „Listeryną", a narzeczony pada w szeroko otwarte ramiona płonącej jak zorza narzeczonej, bo już sobie wymył nogi mydłem „Life Buoy".

Jak zbity pies, z podwiniętym ogonem, wsiadłem czemprędzej do wagonu, machnąwszy łapą na cuda górskie północnej Karoliny i zjechałem w prozaiczne doliny, gdzie ludzkie smrodki są równie gorąco reklamowane, ale przynajmniej nie kontrastują tak złowrogo z cudami przyrody".

„Kurjerek" wpadł drukując to... bo to było akurat w IKC z 10.V br. w feljetonie Roberta Perütza pt. *Keep Smiling. Tableau.* Oto jak wygląda boży świat, kiedy na nim górują ci praktyczni a jak raz wezmą górę, to już nie tak łatwo popuszczą...

NAUKA i LITERATURA

NIEZWYKŁY PRZEKŁAD

PORUSZALIŚMY niejednokrotnie na tem miejscu kwestję przekładów, wykazując ich fatalny poziom, wynikający z nieuctwa tłumaczów Polaków, nieumiejących po angielsku i żydów, nieumiejących także po polsku. Mam jednak teraz przed sobą przekład anglisty i doktora filozofji, niewątpliwego Polaka, p. Zbigniewa Grabowskiego, przekład bezprecedensowy w swej nonszalancji w stosunku do oryginału. Jest to *„Arrowsmith"*, powieść Sinclaira Lewisa, laureata nagrody Nobla, jedna z lepszych powieści tego autora, przełożona na język polski pod tytułem *„Doktór Arrowsmith"* (wydał żydowski Instytut *„Renaissance"*).

Przełożona czy nie przełożona? Na to frapujące pytanie trudno znaleźć odpowiedź po porównaniu tłumaczenia z oryginałem. Właściwie bowiem jest to wolna fantazja p. d-ra Grabowskiego na tle fragmentu powieści Sinclaira Lewisa. Na 40 rozdziałów oryginału znajdujemy zaledwie 19, a więc nawet mniej, niż połowę i powieść urywa się w samym środku. Wracamy więc do początku i szukamy słów „tom pierwszy". Na frontowej okładce widnieje jednak tylko tytuł; natomiast na ostatniej wyraźnie wydrukowane słowo—koniec. Dlaczego właśnie w tem miejscu? Może drugi tom nastąpi? Jednakże książka wydana została przed przeszło pół rokiem i o dalszym ciągu nie słychać. Widocznie tom pierwszy nie miał powodzenia, szkoda więc było pieniędzy.

P. dr. Grabowski jednak postanowił wynagrodzić czytelnikom skąpą dawkę Sinclaira Lewisa i dodać coś na dokładkę z własnej szkatuły. Niedawno jest literatem i publicystą. Sypnął więc hojnie skarbem słowa i skutek jest taki, że na każde słowo autora przypada pięć tłumacza. Otwórzmy na chybił trafił; oto strona 94: „To przeklęte, nudne miasto, ci sami głupi mężczyzni, opowiadający stare jak świat kawały i te nudne, stare drypcie (?) szepczące ploteczki. Nie mogę!" A w dosłownym przekładzie oryginał wygląda tak: „To miasto! Nigdy nic do roboty! Te stare plotkarki i wstrętni staruszkowie opowiadający zawsze te same stare kawały! Nie mogę!" Sprobujmy jeszcze dalej. Oto strona 150: „Leora miała ogromną zdolność brania ludzi takimi, jakimi są. Nie wymagała od nich, by zmieniali się dla niej. Gdy Cliff czekał na odpowiedź, spozierając na nią ironicznym i złośliwym wzrokiem, Leora najspokojniej w świecie zagłębiała się ząbkami w tajniki przełożonej płatkiem drobiu kanapki i przytaknęła z pełnemi ustami: „Uhum — —" Słów przekładu 49; zajrzyjmy do oryginału: słów 27, razem z rodzajnikami, których w naszym języku niema. W dosłownem tłumaczeniu wygląda to mniejwięcej tak: „Miała ogromną zdolność brania ludzi takimi, jakimi są. Podczas gdy Cliff czekał, zerkając zalotnie (leering), ona spokojnie zbadała zawartość kanapki z drobiem i przytaknęła, „Mhm!" Skutek takiego traktowania jest taki, że 187 stron (w wydaniu Tauchnitza), które przełożył p. dr. Grabowski, po polsku zajmuje 426 stron. Całość angielska w tem samem wydaniu liczy 392 strony. Jest to oczywisty gwałt na żywem ciele powieści i nadużycie jej autora i przypuszczam, że sam p. dr. Grabowski oburzyłby się, gdyby z jego uroczej powieści „Ciszy lasu i Twojej ciszy" zrobiono po angielsku ośmiotomowe dzieło z przypisami, prologiem i epilogiem. Skutek byłby taki, że niktby tego nie czytał; nie inny też był efekt przekładu *„Arrowsmith'a"* — najlepszy dowód, że dalszy ciąg się nie ukazał. Jakiż nudny ten Sinclair Lewis—mówiono w krytykach. Nie przypuszczano, że to p. dr. Grabowski jest nudny. Oszczędność słowa jest bowiem podstawą ekspresywności dzieła sztuki.

Jednakże i ta część, której autorstwo przypisać można niewątpliwie Sinclairowi Lewisowi, przełożona jest niedbale. Kompletną ignorancję w dziedzinie technicznych wyrażeń medycznych, których pełny jest *„Arrowsmith"* wykazał już swego czasu p. d-rowi Grabowskiemu fachowiec w „Gazecie Warszawskiej". Jednakże język potoczny pozostawia wiele do życzenia. Niepokojąco wygląda naprzykład z upodobaniem stosowany wykrzyknik „Tam do grzecha!", którym p. dr. G. tłumaczy angielskie *„by thunder!"* i amerykańskie *„golly!"* Tłumaczenie przekleństw i wykrzykników nie jest łatwo — to rzecz wiadoma. Karol May pisał kiedyś w jednej ze swych powieści, że poznał Polaka po znanem polskiem przekleństwie: „Trzaskawica, burza z piorunami!" i niewątpliwie wiadomość tę zaczerpnął ze słownika niemiecko-polskiego, gdzie szukał odpowiednika słowa *„Donnerwetter!"* Ale Karol May nie był Polakiem. Nie podoba mi się także zwrot; „Ciekaw jestem, czy uświadczymy tam jakiego przyzwoitego koniaku?" (str. 371), kiedy w oryginale widzę to samo zdanie w postaci *„Have they any decent cognac?"* Poco się tak silić na „literacki język potoczny?"

Mówi się dziś wiele o nieodpowiednich ludziach, którym powierza się tłumaczenia. Ale z powyższego przykładu widać, że to nie wyczerpuje zagadnienia. Pozatem istnieje

jeszcze psychoza, że przekład należy robić na kolanie. To już jest wychowanie opinji w takim duchu i to zawdzięczamy *„Renaissance'owi”* i tym podobnym. Deprawacja żydowska sięga wszędzie. Doprowadza nawet do tego, że ktoś mający wszelkie dane, żeby przekładać dobrze, przekłada źle, zapominając o swej *„noblesse”* narodowości i stopnia naukowego, która przecież jednak *„oblige”*.

AMI

RUCH WYDAWNICZY

Znowu poezja Krakowa: Adama Bieleckiego „Akwarjum ulic“. Jakżeż to miasto musi być chore, skoro taki znajduje w poezji wyraz! Oto nastroje:

„Pod obcasami rozmydlone, w błocie napółzemdlone miasto”... „Jestem sylwetką bez mocy, rozmytą w czarmym asfalcie” (!!) „Ach nocą tą, jak piłką, zło się bawi, tula mi się pod nogi, bym się wśród murów zataczał, jak bandyta w nienawiści koślawej, złowrogiej“ (12). „Leżę w dole koszmarnym. Ktoś zdusił mnie upałem... W chłód ściany wgniatam głowę. Tynk przerżnął lepkie czoło”... (13) „Poszłaś z nim za miasto... Śpiew słowików podmiejski i naglący owiał cię, jak jodoformowym urokiem operacyjnej sali” (14). „I słońca — talerz z zimnego kruszcu, żółcią pałający, na którym tyran ucztuje zamierzchły i bezmózgi” (18). „Ta noc jest moim upadkiem. Ulicami chodzą prostytutki... W zaduchu wiosny uroczym... pośpiew zielonych plant w śmierć się przetoczył” (21) „Godziny bezsenne, kwaśne więzienne sufity, sny obmierzłe wabią mnie rozdeptanym głosem, do mych piersi tulą się larwy opuchłe” (26)...

I tak przez całe 60 stronic. Duch Przybyszewszczyzny czepił się zgniłości tego małego Wielkiego miasta i pokutuje w poetach takiego typu, jak Bielecki. Chore to, rozpustne, próżniacze i bardzo pretensjonalne.

TEATR

KALIGULA

TEATR POLSKI, pozostający obecnie pod kierownictwem Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce, wystawił słynny z czasów wojny czteroaktowy dramat Karola Huberta Rostworowskiego pt. „Kajus Cezar Kalgula”. Teatr, gdy chodzi o Rostworowskiego, zawsze zadanie ma trudne; tutaj wziął je na siebie, jako reżyser, p. Leon Schiller. Artystę do roli czołowej teatr ma znakomitego w osobie p. Junoszy-Stępowskiego. W dramacie kilka zaledwie osób czynniej występuje, poza niemi — chóry spiskowców i dworzan. Dwie żony (Milonję gra p. Gorczyńska, LolIję — p. Eichlerówna), oddany Cezarowi Regulus — p. Kreczmar epizodyczny Demetrius — Socha, premjer Protogenes—Samborski. Ale na scenie bywa pełno, jak w operze, są i tancerki, jest też i muzyka, dorobił ją p. Maklakiewicz.

Nieraz się już mówiło, że dramaty Rostworowskiego mają w sobie coś pokrewnego z operą przez to, że wiele usilności artystycznej autor wkłada w słowo. On je śpiewa, w każdym razie rytmizuje w rolach solowych i rozkłada na głosy w scenach zbiorowych. Pod tym względem przedstawienie w Teatrze Polskim nie zawsze czyniło zadość naturze obrazów poetyckich Rostworowskiego. Od czasu do czasu tylko można było wyczuć, że aktorzy mówią wiersz rytmiczny, nawet nie wszystko mówione dochodziło do uszu wskutek zamazania brzmień. Ponieważ w dramacie Rostworowskiego niema akcji, którąby wydarzeniami porywała, dzieje się zaś przed widzem tylko analiza psychologiczna i ocena wartości dusz, przeto strata na muzyczności daje się tem dotkliwiej odczuwać. Scena robi się zimna i zdradza skłonność do zastygania w ruchu. Przygrywki p. Maklakiewicza, monotonnie wolne, w powolności ogólnego tempa szukają swego uzasadnienia, a może odwrotnie jest to wina akompanjamentu.

W chwili, gdy piszę te słowa, nadszedł „Kurjer Warszawski” ze sprawozdaniem Adama Grzymały - Siedleckiego. Znajduję tam próbę wyjaśnienia koncepcji poetyckiej dramatu w danych biograficznych, dotyczących autora, a znanych Siedleckiemu z tego powodu, że byli blisko siebie wówczas w Krakowie. Mianowicie Siedlecki utrzymuje, że Kaligula wydał się Rostworowskiemu nie tak straszny, jak go historja malowała, wskutek tego, że przyczynę jego załamania moralnego upatrzył w ówczesnem środowisku rzymskiem. Ten zaś pogląd na środowisko nasunął mu się z obserwacji politycznego otoczenia krakowskiego. Rostworowski, dotąd nie zajmujący się polityką, porażony był widokiem tego, co w swej zgniłości politycznej (szkoła austrjacka) wyczyniał obóz, blokowany pod przewodem N. K. N.

Okoliczność wiele wyjaśniająca, ale nie wszystko. Rostworowski przedtem już wystawił „Judasza”. I tego potwora również w pewnej mierze rehabilitował, choć miał on koło siebie dobrą atmosferę, bo otoczenie apostołów, Rostworowski musi wszystkich rehabilitować, wychodzi bowiem z założeń nie prokuratorskich, lecz psychologicznych. Stara się człowieka zrozumieć, a wszystko zrozumieć — to wszystko wybaczyć. Szuka człowieka, jak Diogenes. Wówczas, gdy pisał tamte dramaty historyczne, szukał go między ludźmi wyjątkowymi. Raził go i niewiarę budził *vulgus*, w wielkich indywidualnościach szukał iskry Bożej, rozdmuchiwał ją w popiołach. Wydawało mu się, że szczytem dramatyczności jest zawalenie się takiej indywidualności, jak Cezar Kaligula. Pokazać, czem mógł być, a czem się stał — starczy za dramat, choćby to nie był ani los, ani tragedja wielkiej myśli, tylko poprostu obraz psychjatryczny ruiny. Nic się przecież w naszych oczach nie stało, coby biegiem dramatu było. Kaligula od pierwszego aktu jest skazany na śmierć, psycholog nam tylko pokazał, jak się to odbyło, że była to wysunięta na czoło ofiara zepsutego środowiska, że szał zboczeńca jest sympatyczniejszy od nikczemności motłochu.

Wadą tego poglądu, a więc i dramatu, jest oparcie o psychologję jednostkową, która istotnie fatalnie wygląda w zastosowaniu do psychiki tłumu (tutaj spiskowców). Wymaga ta psychika innego wejrzenia, innej metody; tutaj potrzeba skalpelu socjologicznego, a jeśli chodzi o historję — światła historjozoficznego.

Nie obywatele kształcą, czy psują władcę, lecz odwrotnie. Państwo jest najpotężniejszym czynnikiem wychowawczym i rozkładowym. Obywatele, powiada się, takich mają władców, na jakich zasługują. Zapewne. Wyjąwszy jednak kataklizmy. Ale gdy obywatele, jak w tym wypadku reagują, to nie można właśnie wtedy robić im zarzutu, że na Kaligulę zasługują, albo są od niego gorsi.

Rostworowski przedstawił nam dramat osobisty Kaliguli. Po roku panowania w ustroju samowładczym stracił poprostu zmysły. Bo psychika, będąca wytworem społecznym, wyniesiona sztucznie ponad biosferę narodu rozkłada się. Tyran w rodzaju Kaliguli staje się psychopatą. Rozsadza go pustka, którą ma koło siebie, a jednocześnie upadla się środowisko, utrzymujące jednostkę na tych wyżynach sztuką pochlebstw, służalstwa i ubóstwiania. Psucie się społeczeństwa jest objawem wtórnym. Jest w tem dramat całego społeczeństwa, zrozumiały tylko w świetle historycznem. Jako osobisty dramat chorej jednostki nie przedstawia nic osobliwego, czegoby nie można było znaleźć w każdym szpitalu. Rostworowski zrozumiał to najlepiej w ostatnich latach, kiedy daleko tęższe dramaty dobywa z życia jednostek prostych z ludu.

„Kaligula” działa na widza nie tyle swoją dramatycznością, ile doskonałym realizmem psychologicznym. Pisany po Wyspiańskim i noszący jego ślady zarówno w wierszu, jak w scenach (Bolesław Śmiały i skarby) ciąży typem swoim do realizmu refleksyjnego z czasów przedwyspiańskich. Realizmem swoim Rostworowski przezwycięża romantyczną historjozoficzność Norwida (Kleopatra) i historycyzm poezji dramatycznej Wyspiańskiego. Realizm ten oparty jest na wierze, że człowiek (bestja ludzka) jest zaw-

sze ten sam i dramat nosi w naturze swojej. Dla tego dramaty jego zawsze są aktualne zarówno w czasach wojny, jak i w czasach obecnych. Zmusić widza do litości nad człowiekiem — oto zadanie, jakie stawia sztuce.

Z. W.

MUZYKA

FILHARMONJA. „Żar — ptak" wykonany w sali Filharmonji 11-go i „Pietruszka" 18-go maja przypomniały postać **Strewińskiego**. Słowo „przypomniały" pasuje tutaj niestety nadzwyczaj trafnie. Kto nas tak w Warszawie zabija deskami? Dlaczego kontakt z wielką twórczością współczesną jest chaotyczny i taki niepełny?

A przecież Strewiński odegrał i odgrywa wciąż jeszcze rolę wprost olbrzymią. Niemożna więc obojętnie i po ignorancku zatykać uszu, nie można od czasu do czasu odegrać suitę z baletu „Żar — ptak", lub „Pietruszka" i na tem skończyć. Zdajmy sobie wreszcie sprawę z tego, że tem samem obracamy się wokół jednego tylko okresu jego twórczości niekompletnie zresztą podawanego. Zaznaczam, że na „*Sacre du Printemps*" wyczekujemy już od roku 1913-go! Okres czekania zdążył dojść do pełnoletniości a partytura i w tym sezonie nie nadeszła na czas...

Tymczasem twórczość Strawińskiego brana jest na warsztaty muzykologiczne, omawiana, dyskutowana. Dziwią jej się, ulegają, poddają pod wpływ, lub zwalczają zaciekle. Znak to, że wkroczyła do sztuki mocnym i zastanawiającym krokiem. I dlatego nie wolno nam jej tak traktować, jak do tej pory, zwłaszcza, że i w naszej muzyce natrafiamy wyraźnie na jej wpływy.

Czemu zawdzięcza swą pozycję? Talentowi genjalnego twórcy i jego indywidualności wyrosłej z odrębności swojego narodu. Już pierwszemi, mocnemi utworami przeciwstawił się on estetyzmowi, temu odpowiednikowi całego ówczesnego sposobu (dosłownie) tworzenia i myślenia. I w tem jego ogromna zasługa. Dobrze, że ta „karczma z pijanym jej ludem" uderzyła w filisterski, estetyzujący salon, wielce przyznajmy tandetny w zestawieniu z poprzedzającemi go prawdziwemi. Ucieszono się, że jest coś „oryginalnego" atrakcyjnego. A tymczasem to była zapowiedź zwrotu w muzyce, jej ideowości. To było odszukanie jednego z najcudowniejszych zjawisk — instynktu.

Wysilano się na wymyślenie najbardziej dosadnych określeń. Ktoś nucił: „dno rasy". Głębiej przecież nie można. Niedoceniając wagi niebezpieczeństwa, określenie to podawano z ust do ust. Czynną i zasłużoną (wyjątkowo) rolę odegrał tym razem zwyczajny snobizm. Nie zdawał sobie oczywiście sprawy ze swej samobójczej roli. Dzisiaj się udowadnia, że rasa w muzyce to absurd. Wmawia się nachalnie i na każdym kroku. Przepraszam, ale my bardziej wierzymy "Pietruszce" aniżeli całemu szeregowi artykułów...

To też gdy się ukazała „*Dulcinella*", koncert fortepianowy i skrzypcowy, skorzystano skwapliwie z okazji ażeby wydać płytki sąd; Strawiński z kolei, internacjonalistą. Tamta rosyjskość to tylko jeden z przejawów kapryśnej natury artysty.

Pogląd taki, wierzę, jest bardzo wygodny, zwłaszcza, że się autorytet twórcy wciąga w imprezy będące istotną już niekonsekwencją. Przypominam tylko „Międzynarodowe Towarzystwo Muzyki Współczesnej" albo taki dziwoląg jak „Międzynarodowa niezawisła (!) opera".

Można sobie wmawiać wszystko co kto tylko chce i co komu jest wygodniej, a przecież Strawiński jest w muzyce prawdziwym Rosjaninem, tak jak Debussy Francuzem, Wagner Niemcem a Chopin Polakiem. W tem przedewszystkiem tkwi źródło siły ich sztuki. I niechaj ten się daje wprowadzać w błąd „Królem Edypem" albo „Symfonją psalmów", komu na tem zależy...

Prawda jak ta oliwa — wypłynie.

W. NARUSZ

OFENSYWA

SMUTNE KUMOSZKI Z WINDSORU

ZABAWNE PRZYGODY miały w ostatnich czasach dwie wysoce utalentowane warszawskie pisarki. Gniecione przeraźliwą, otchłanną nudą agonizującej stolicy chciały przeżyć na gwałt coś egzotycznego, coś niebywałego, niecodziennego! Angielki, francuski, niemki, włoszki, czeszki, węgierki w takim stanie ducha wsiadają na jakiś pasażerski stateczek i jadą sobie albo do Norwegji albo do Algeru albo na Madagaskar czy do Kalifornji. Ani marzyć o tem nędzarkom polskim. Chcąc przeżyć coś egzotycznego, nasze Polki jadą poprostu między żydy. Tramwajem. Pani Wanda pojechała, aby asystować przy ceremonji obrzezania, pani Kuncewiczowa zaryzykowała jeden z teatrów żargonowych... Wytrwały obie do samego końca spektaklów, poczem swoimi emocjami podzieliły się z czytelnikami. Że obie aryjki stuprocentowe, więc reportaże choć pisane najobjektywniej z głęboką sympatją dla operowanych i... grających coś tam jednak musiały zawierać zuchwałego, buntowniczego i irytującego, skoro zainteresowane sfery i koliska natychmiast zareagowały bardzo mocno. Panie zostały zbesztane co się zowie przez cały szereg pism żydowskich i polsko-żydowskich, że niby wtrącają się w nieswoje, że się na smaczkach rytuałów nie poznała jedna a druga, że zanadto swoją aryjskość i chrześcijaństwo ośmielała się odczuwać no i wogóle że nie umiały się zachować z odpowiednim respektem i właściwie są źle wychowane, bo obrzezką powinny się były zachwycać a w teatrze powinno im było wszystko pachnąć jak w *rosarjum*. „Za twoje myto jeszcze cię obito" czyli masz babo redutę". Ale to jeszcze mało. Dostało się i trzeciej amazonce czy amałżonce. Pani Helena Boguszewska wydała świeżo nową powieść w pierwszej dziś firmie nakładczej polskiej: J. Przeworski (ex Świętokrzyski). Tytuł powieści zachwycający, fascynujący, „łowczy": „Całe życie Sabiny". Jak już jest Sabina, to przecież coś powinno być ciepłego o żydach („Porwanie Sabinek"). Takie imię żeńskie w tytule chyba obowiązuje? A tymczasem pani Boguszewska zawiodła. Porwana Sabinka nie zawiera w sobie nic z tego, co tytuł obiecywał. To też słusznie całkiem karci recenzent „Naszego Przeglądu" panią Boguszewską za taką bagatelizację, za taką niewdzięczność. Bądź co bądź starozakonnik wydał, ryzykował, wypłacił a tu tymczasem:

> „...czytelnika żydowskiego tembardziej uderza przykro, że dla żydów nie ma ona żadnego zainteresowania ani społecznego, ani artystycznego, choć raz po raz o nich zahacza. Nie ujawnia ona wprawdzie dla swych epizodycznych postaci żydowskich żadnej niechęci, ale wszystkie je — kupca bławatnego, muzykantów, woziwodę — darzy zupełną obojętnością. I oto czyni pisarka, dla której nic ludzkiego nie jest obce, która płacze nad niedolą służącej, jej syna złodziejaszka „— ba — która roztkliwia się nawet losem porzuconego na starość psu, zestawiając niewdzięczność „państwa" wobec zwierzęcia z taką samą niewdzięcznością wobec starej piastunki. Jest zaiste godnem ubolewania, że tam, gdzie chodzi o żyda, nawet u szlachetnej społeczniczki milknie serce, i występuje w najlepszym razie pogardliwe ignorowanie".

Więc tedy „ignorowanie" można powiedzieć i „pogardliwe", bo jak „bohaterka" powieści (kresowa Polka, rozwoda) nosi imię Sabcia, no to chyba każdy bierze (kupuje) książkę ze stuprocentową pewnością, że coś ciepłego będzie o Sabinkach? Wydawca Przeworski dostaje także niejako monit między wierszami, aby wobec takiego „zingnorowania" już chyba więcej tej autorki nie wydawał. W ten sposób trzy polskie pisarki które chciały jak najlepiej, nikogo nie zadowoliły i jeszcze sobie zraziły mocarne mocarstwo. Zdaje się, że nawet już pójdą na czarną listę i będą *tabu*, to jest nietykalne, to jest niekupowane przez tych... ostatnich co jeszcze książki kupują!

Nie róbmy sobie bowiem więcej i dłużej żadnych iluzji! Książkę naukową i pisma fachowe, specjalne kupuje jeszcze publiczność t. zw. polska, jak również ta sama klientela nabywa jeszcze beletrystykę tandetną i tłomaczeniową szczególnie francuską i angielską. Dzieła i utwory wyższej kategorji i rangi kupują wyłącznie tylko żydzi i środowiska z nimi kulturalnie związane. Pałace nie kupowały nigdy. Dwory, dworki, „patrycjat", wyższa burżuazja tak dziś zbiedniała i znędzniała, że na żaden literalnie luksus ponad spożycie artykułów pierwszej potrzeby (z artykułami dziennikarskiemi włącznie) pozwolić sobie nie może. To samo jest też z teatrem. Grzymały i Rostworowscy mogą mieć imponujące sukcesy moralne (estymowe) ale publika drzwiami i oknami będzie waliła na złopiewnie Słonimka, o ile ten też nie

pozwoli sobie na „ignorowanie pogardliwe” na jakie sobie pozwolili... pani Boguszewska lub... Tuwim. Jak bowiem Sanacja tak i Semicja domagają się obecnie w stosunku do siebie podległości, oddania i służalstwa bez reszty, bez restrykcji. To za mało być sympatykiem czy poputczykiem, trzeba być udarnikikiem i szturmowcem. Ani kokietowanie ani podlizywantes nie wystarczą. Trzeba stać na baczność, potem klękać, potem wstać i albo dać się dla przykładu obrzezać i to *coram populo*, albo iść do mykwy i tam wykąpawszy się zaintonować pełnym głosem „Cudna była mykwa! my pierwsza Hatykwa” i dalsze zwrotki...

Same rewerанse i komplementa już nie robią żadnego wrażenia. To też po naszej literaturze idą teraz gorące wiatry sympatji dla mniejszości... jeszcze książki kupującej. Literacki *chryzotropizm*. Całą książkę temu przyciąganiu intelektów przez kapitalizm (Schylokrację) poświęcił niedawno Upton Sinclair (*A Brass-Chek*) który nawiasem mówiąc, sam rozstał się burzliwie z socjalistami i na odchodnem zwymyślał też Marxizm i Marxistów co się wlezie. Sinclair udowodnił na setce przykładów jak piszący *producers* nachylają się zmiennie ku stronie najliczniejszych spożywców literatury. Towar idzie za klientelą. Piszący nawet nie odczuwają, nie zdają sobie sprawy z tego, jak ich pociąga, przekształca, zniekształca ta warstwa ta grupa, która ich produkty mózgowe nabywa.

U nas na naszem małem dziadowskiem podwórzu można ten chryzotropizm obserwować gołem okiem i codziennie. Każdy kto ze swego śmietnika partyjnego chce się przedostać na śmierdzące podwórko („gojczyzny”) musi przejść przez druty ejruwu. Inaczej bowiem oprócz rzedniejącej skupiny śledzienników i wątrobiarzy, Bouveratów i Pecouchetów, Dulskich i Safandulskich pies z kulawą nogą nie będzie o nim wiedział i nawet mu w przebiegu portek nie oszkaradzi. Niektórzy oczywiście przesadzają potem w tym chryzotropizmie i wlazłszy na lep jak muchy, zabawnie przebierają potem odnożami. Mamy tu na myśli oczywiście i Hulkę Irzykowskiego i Hulkę Laskowskiego Żadnej samodzielności i niepodległości nie potrafili sobie zagwarantować ani jako rzadowcy ani jako żydowcy. Również przedwcześnie przygięli karki i za żarliwie całujerączkują Rusinek w ostatniej powieści i Wiktor w ostatnim reportażu (Pion). Jakiś Przybyszewski Wawrzyniec (sic) już wprost w „Naszym Przeglądzie” robi sobie z krewniaka Przybysza hebraistę czy talmudystę rzekomo zakochanego w jakimś rabinie. Nieco przesadziła też przemiła poetka z Litwy mistycznej idąca, która w „Porranniaku” Rrzymowskim ale antyrzymskiem zamieściła w dniu uroczystym 3-go Maja wierszyk z jakimś lirycznym Abramkiem („Ojczyzna dla wszystkich”) bez którego „kapcańskich dostaw” (liwerunków) rzekomo „zginęliby wszystkie wojaki” (sic) to jest cała armia polska..., co kłaść należy między całkiem już kliniczne nonsensy, skoro liwerantami innych armji europejskich nigdzie nie bywają... Abramki. Również całkiem z nieprawdziwego zdarzenia muszą chyba być „Ludzie, którzy żyją” w nowelkiesach Czesławy Halicz: idylliczny Mendel, idylliczna Esterka, idylliczny Josek, idylliczny faktor Pchełka, jakieś zjawy antyczne z czasów Orzeszkowej, lamp naftowych tramwajów konnych i assemilacji. Że takie gawędasy jeszcze się pisze, to jest wzruszające, że jeszcze mogą być czytane to jeszcze bardziej wzruszające. Z rzeczywistą rzeczywistością nic to atoli niema wspólnego.

Dzisiejsze Esterki (z „Ludzi, którzy jeszcze żyją”) to jest ...Hela Bertz z Witkiewicza „Pożegnanie Jesieni”, za którą autor poszedł na czarną listę czarnej giełdy literackiej między t. zw. „ledwie tolerowanych” i żywcem zagrzebywanych.

Obecnie idą na czarną listę panie: Boguszewska, Kuncewiczowa i Melcer-Rutkowska .. Będą tam o nich jeszcze grzecznie pisali ale kupować „masowo i musowo” ich książek nie będą. Już roztelefonowano na wszystkie strony: tref!... tref...ne tykać! Cherem!

Biedne babinki! ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

PODSŁUCHANE W KAWIARNI.

— To jest rafinowana złośliwość. Bo proszę pana. ja głodny siadam do obiadu, a pan mi w zupę napluł.

— To byłoby nietylko złośliwe ale nieobyczajne.

— A widzi pan. Niechże teraz pan sięgnie do skarbu, a tu wszyscy krzyczą: „szanuj grosz publiczny”. Napluto do skarbu.

*

„Kurjer Lwowski” donosi za „Naprzodem”, co się zdarzyło w Krakowie:

„Wozem tramwajowym linji nr. „2” jechał kontroler Ubezpieczalni Społecznej Jasiński, b. legjonista. Uwagą jego, wypowiedzianą na temat policjantów, jeżdżących tramwajami, poczuł się dotknięty jadący w tym wozie policjant i wraz z trzema innymi posterunkowymi aresztował Jasińskiego.

Aresztowanego odstawiono na policję. W sprawie aresztowanego interwenjował szereg osobistości, między in. podpułk. Podgórski. Wreszcie na interwencję samego wojewody dr. Kwaśniewskiego, Jasińskiego wypuszczono z aresztu... Opatrzyło go dwóch lekarzy i obecnie leży on ciężko chory.

Jak się dowiadujemy, jeden z komisarzy policji został natychmiast przeniesiony do Sosnowca, a kilku posterunkowym wytoczono dyscyplinarkę“.

W tym przedziwnym skrócie reportażowym nie powiedziano, co zaszkodziło Jasińskiemu.



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.